Rok VIII. 31-go maja 1889 r. Nr 9 i 10

PRZEDPŁATA WYNOSI.
W Szwajcaryi, Francyi, Belgii i we Włoszech: 5 franków.

W Niemczech z przesyłką w kopertach 10 fr.

Organizacyje socyjalistyczne i robotnicze korzystać mogą z ułatwień.

WYDAWNICTWO „WALKI KLAS“

PRZEDŚWIT

(L'AURORE)

CZASOPISMO SOCYJALISTYCZNE

WYCHODZI DWA RAZY NA MIESIĄC.

PRZEDPŁATA WYNOSI.
W Austryi 5 guldenów.
W Rosyi 5 rs.

Cena Numeru pojedyncze go 20 centimów, pod opaską 25 cent., w kopercie 40 centimów.

Prenumeratę i korespondencyje z kraju nadsyłać należy w listach rekomendowanych.

Adres Redakcyi i Administracyi: GENÈVE, Chemin Dancet 15, Imprimerie de l'Aurore.

Pogwacenie prawa schronienia przez rząd szwajcarski

—

I. Wybuch bomby na Zürichbergu.

8 marca b. r. dwaj rewolucyjoniści, tow. Al. Dębski i Brinstejn, przebywający w Zürichu, udali się do lasu na Zürichbergu (pobliskiej górze, u stóp której leżą gminy zürichskie), ażeby wypróbować bomby, napełnione materyjałem wybuchowym ich własnego wynalazku. Drobna nieostrożność była przyczyną wielkiego nieszczęścia. Bomba wypadłszy z rąk jednego z towarzyszy, wybuchła i cała jej siła piekielna zwróciła się przeciwko dzielnym eksperymentatorom. Okropne były skutki wybuchu. Czerepy bomby poraniły obu towarzyszom nogi, brzuch, piersi, poszarpały buty, ubranie i wryły się głęboko w ciało. Upadli oni na ziemię, pokrytą śniegiem i byliby tam może skonali od ran, zimna i upływu krwi, gdyby nie potęga woli żelaznej, nie dającej nigdy, choćby w najstraszniejszej chwili, nieszczęściu za wygrane, porywającej się w szlachetnym zapale zawsze, nawet w chwili skonu bliskiej — do czynu. Ta potęga woli popchnęła towarzysza naszego Dębskiego do powstania z ziemi i udania się niezwłocznie na Oberstrass (gmina zürichska), ażeby uwiadomić przyjaciół o nieszczęściu i zażądać pomocy dla Brinstejna, który był mocniej poraniony w brzuch i nogi. Popędził więc Dębski na dół, utykając, przewracając się po drodze z góry ślizgiej, ogień zapału palił mu piersi, on biegł przed siebie, naprzód i naprzód, nie czuł ran, nie czuł ich bólu, czuł tylko ogień swojej własnej woli. On dobiec musiał, musiał do miasta, w przeciwnym razie kolega jego biedny, z pokrwawionemi i poszarpanemi nogami skona na śniegu. I wola wlokła go za sobą — naprzód! Na ulicy spotyka znajomego studenta.

— Kolego... — pyta go spokojnie, delikatnie — czy macie czas?..

— Tak...

— Ale czy na pewno macie dosyć czasu... wszak przygotowujecie się do egzaminu?..

— Mam dosyć czasu... czem wam służyć mogę?.. — była odpowiedź.

— Jeżeli tak... to proszę... odprowadźcie mię do kolegi F. (stud. medycyny), nie mogę już iść dalej o własnej sile...

Teraz dopiero zapytany przyjrzał się Dębskiemu: Ubranie, buty poszarpane, pokrwawione, powalane błotem. gliną, twarz blada, oczy roziskrzone gorączkowo. Przybyli do mieszkania F. Na wieść o wypadku zbiegli się znajomi. Dębski opowiedział o nieszczęściu i poczynił polecenia odpowiednie. Odwieziono go do szpitala. Towarzysze długo szukali w lesie Brinsztejna. Zarówno on, jak i Dębski, wybrawszy się na próby do lasu, nie uprzedzili o tem — ze względu na ostrożność — nikogo ze znajomych.

Znaleziono wreszcie pod wieczór dogorywającego niemal na śniegu Brinsztejna, położono go na nosze i zniesiono ostrożnie z góry.

Policyja, dowiedziawszy się o wypadku, pospieszyła na Zürichberg i towarzyszyła konduktowi smutnemu. Imiona wszystkich, którzy szukali zranionego towarzysza, zapisano w notatkach policyjnych.

Zranieni znaleźli w szpitalu troskliwą pomoc lekarską. Przy operacyjach zachowali spokój, który jest udziałem ludzi dzielnych. Kiedy Dębskiemu przecinano kości, ażeby wyjąć drobne kawałki mosiądzu, twarz jego była, jak posąg, spokojna.

— Polacy są zawsze mężni!.. — zawołał chirurg, pełen uznania dla silnego charakteru naszego towarzysza.

Na razie lekarze nie mogli orzec nic stanowczego co do życia Dębskiego. Brinsztein był tak silnie pokaleczony, że nie można było wątpić o rychłej śmierci jego.

Wieść o strasznym wypadku poruszyła całą kolonię polską i rosyjską. Każdy znał obu towarzyszy, jako ludzi oddanych sprawie, poważnych, pełnych poświęcenia dla drugich. Z ust do ust krążyła przygnębiająca wiadomość, wzbudzając u wszystkich tych co znali Dębskiego i Brinstejna: u drobnych kupców oberstraskich, gospodyń wynajmujących mieszkania, studentów szwajcarów, niemców etc., głębokie współczucie. Jedna tylko warstwa ludzi, której codzienne zajęcie, której fach zabija wszelkie ludzkie uczucia w ludziach mu oddanych — ta tylko warstwa przyjęła radośnie wieść o wybuchu bomby na Zürichbergu. Mówimy tu oczywiście o policyi.

Na czele policyi w Zürichu stoi hauptman (dowódca) Fischer. Powiemy o nim później obszernie. Otóż, policyjant ten, dowiedziawszy się o wypadku, klasnął z radości w dłonie. Takiej sposobności, sprzyjającej widokom jego, oczekiwał on już od dawna. Z początkiem r. 1888, kiedy w reichsracie niemieckim dyskutowano nad przedłużeniem praw wyjątkowych, socyjaldemokraci podnieśli publicznie sprawę płatnych przez rząd niemiecki agentów-podżegaczy i wykazali, że rząd za pomocą tych agentów podbura robotników do czynów gwałtownych, że stara się zdemoralizować karne szeregi organizacyi socyjalistyaznej i wiadomościami o rozbójniczych napadach, bombach, projektach zamachu etc., przerazić burżuazyję i zmusić w ten sposób do uchwały nowych, bardziej surowych, wyjątkowych ukazów. Rząd niemiecki utrzymywał i utrzymuje agentów - podżegaczy w Szwajcaryi, gdzie przebywa mnóstwo socyjal - demokratów niemieckich, którzy schronili się przed zemstą jego, przed prześladowaniami policyi. Policyja szwajcarska na nalegania socyjal - demokracyi niemieckiej, osiadłej w Szwajcaryi, musiała wreszcie zabrać się i do agentów policyjnych, rządu niemieckiego. Fiszer, jako naczelnik zürichskiej policyi, miał liczne dowody na piśmie, świadczące o przestępstwie berlińskiego rządu. Dowody te oddał on, ugoszczony zapewne poprzepoprzednio w knajpie, socyjaldemokratom, którzy ogłosili je publicznie przed parlamentem niemieckim. Wówczas Bismark, wściekły ze złości, pogroził rządowi (Bundesrathowi) szwajcarskiemu. Rząd związkowy, przestraszony, począł się usprawiedliwiać, składając całą winę na urzędnika policyjnego, Fiszera. Fiszer dostał naganę. Odtąd najgoretszem życzeniem jego było okazać wobec rządu związkowego najzawziętszym przeciwnikiem wszystkiego, co pachnie rewolucyją. Wyczekiwał tylko stosownej chwili, w której mógłby się rzucić ze swymi zbirami na obcych rewolucyjonistów, „wichrzących w spokojnem społeczeństwie demokratycznem.“

Sposobność nadarzyła się. Tegoż samego dnia pod wieczór popędził on czemprędzej do domu, gdzie mieszkał Brinsztejn. Policyjanci poodrywali podczas rewizyi zamki, zniszczyli meble, rozbijając się za papierami, listami i materyjałami wybuchowymi. Znaleziono flaszkę z jakimś płynem nieznanym. Fiszer w tryumfie udał się do szpitala. Zbliżył się do łóżka Brinstejna, trzymając w dłoni flaszkę ową. Rozgrzany ciepłem dłoni płyn wysadził korek w powietrze. Można sobie wyobrazić przerażenie tryumfującego przed chwilą policyjanta.

— Wrzuć pan to niezwłocznie do zimnej wody, w przeciwnym razie płyn wybuchnie... — zawołał Brinsztejn.

Fiszer wrzucił flaszkę do miednicy z zimną wodą i umknął za drzwi z przestrachu. Wodę wraz z flaszką kazał Brinsztejn wylać posługaczowi szpitalnemu. Tak więc policyja nie mogła się dowiedzieć z czego składał się materyjał wybuchowy, użyty do bomb.

Teraz mógł Fiszer znowu wejść do sali szpitalnej, brutalność po doznanym przestrachu odżyła w nim tem silniej. Zbliżył się do Dębskiego i począł mu zadawać pytania. Dębski z pogardą spojrzał na tego draba policyjnego, który nie umie uszanować cierpień ludzkich.

— Odejdź pan precz, nie będę odpowiadał!.. — odrzekł chory, ciężko dysząc, miał bowiem płuca strasznie poranione.

Fiszer odstąpił, jak zmyty, od łóżka Dębskiego i podszedł do drugiego chorego.

— Za kilka godzin przestaniesz pan żyć, proszę więc odpowiadać na moje pytania... — zwrócił się do konającego Brinsztejna i znowu spotkał się ze wzrokiem wzgardy. Nie wiodło mu się dzisiaj z protokółami. Zrozumiał, że z ludzi tych nic nie wydobędzie.

Konającemu przedstawiać, że za kilka godzin żyć przestanie, domagać się od niego zeznań wówczas gdy tenże z bólu niemal od przytomności odchodzi, — to brutalność tak nikczemna, że rzadko ją nawet widzimy u policyi. Demokracyja szwajcarska ma policyję, która ubiegać się może o palmę pierwszeństwa w okrucieństwie ze zbirami rosyjskimi, pruskimi, austryjackimi. Nie wątpimy, że w wyścigach tych Fiszer zdobyłby pierwszą nagrodę.

Na drugi dzień po zaaresztowaniu licznych znajomych obu towarzyszy, zjawił się on znowu w szpitalu, domagając się od lekarzy wydania Dębskiego władzy policyjnej w celu odstawienia do więzienia. Lekarze oświadczyli, że Dębski pasuje się między życiem a śmiercią, że oddadzą go Fiszerowi, ale wówczas będzie on odpowiedzialny za śmierć chorego. Fiszer cofnął żądanie.

Tchórz nikczemny — żąda, a potem się cofa, gdy mu odpowiedzialnością zagrożą; niesie tryumfalnie flaszkę z płynem wybuchowym, a gdy płyn korek wysadzi, umyka za drzwi, pełen trwogi. To nie dziki i zuchwały charakter, to przedewszystkiem filister, brutalny, jak niemiec biurokrata w kraju przez niemców podbitym, ale zarazem tchórz, bez poczucia godności, wspaniałomyślności, to służalec najęty, karyjerowicz, pragnący podłością przypodobać się rządowi związkowemu i zatrzeć błąd niedawno popełniony.

* * *

II. Pogrzeb

W nocy, dnia drugiego Brinstejn skonał...

Pogrzeb miał się odbyć w poniedziałek 11 marca.

— Proszę oświadczyć swoim znajomym, polakom i rosyjanom, ażeby nie uczestniczyli w pogrzebie Brinstejna. Będę zmuszony posłać przed szpital oddział uzbrojonej w karabiny policyi. A czy wiesz pan dlaczego to uczynię?.. Oto poprostu z obawy, ażeby wzburzona ludność Oberstrassu nie rzuciła się na polaków i rosyjan, odprowadzających zmarłego na cmentarz... — W ten sposób przestrzegał Fiszer jednego z polaków po przeprowadzonej z nim przed chwilą indagacyi. Fiszer skłamał. Brutal, tchórz musi zarazem być kłamcą. W dzień pogrzebu nie wysłał oddziału policyi, wiedząc dobrze, że nie widok rosyjan, polaków, ale widok zbirów zbrojnych oburzy ludność szwajcarską. Mieszkańcy gminy przychodzili przed domy i patrzyli ze smutkiem i współczuciem na kondukt pogrzebowy. Tłum ludzi szedł za trumną rewolucyjonisty. Karawan i trumna obwieszone były wieńcami od organizacyj socyjalistycznych, grup, towarzystw i pojedynczych osób. Widzieliśmy wieńce od socyjaldemokracyi niemieckiej, szwajcarskiej, od socyjalistów polskich, od Towarzystwa młodzieży polskiej, od kilku polek, od rosyjskich towarzyszy, czytelni i t. d. i t. d. W pogrzebie uczestniczyli oprócz polaków i rosyjan, serbowie, bułgarzy, niemieccy i szwajcarscy socyjaldemokraci. Na cmentarzu, w pobliżu Oerlikanu, miano pochować zmarłego. Nad grobem czterej towarzysze mieli mowy. Beck i Nagel przemawiali w imieniu rosyjskich socyjalistów, w imieniu polskich Daszyński, ze Szwajcarów przemawiał Otto Lang. Daszyński zaznaczył w swej przemowie, że rewolucyjoniści polscy muszą iść ręka w rękę z rosyjskimi, wówczas tylko bowiem za pomocą zgodnej akcyi przyśpieszyć będą mogli chwilę rewolucyi społecznej i wyzwolenia się z pod ucisku absolutyzmu. Po skończeniu mowy podniósł on okrzyk: „Niech żyje międzynarodowa społeczno-polityczna rewolucyja!“ W powietrzu czuć było wiosnę. Murawa cmentarna tu i owdzie okazywała ślady świeżej zieleni; słońce grzało, osuszając wilgotną ziemię. W taki dzień wiośniany, uśmiechnięty chowaliśmy towarzysza naszego, młodego chłopca, pełnego zapału dla sprawy wyzwolenia, młodego „emigranta,“ który rzucić musiał ojczyznę z powodu udziału w zamachu na cara w marcu 1887. Łzy cisnęły się do oczu, kiedy patrzyliśmy na trumnę, w której spoczywał, ale promienie słońca wiosennego i łzy osuszały. W umysłach stojących nad grobem ludzi poruszone było żywo uczucie swobody, nienawiści dla niewoli, dla prześladowania. Musi przyjść i dla nas wiosna rewolucyi! Tymczasem święćmy pamięć zmarłych towarzyszy i nie zapominajmy o żywych, — chodzących w niewoli.

III. Śledztwo

Na jakiej podstawie rząd związkowy rozpoczął śledztwo?.. Było ono pozbawione wszelkiej podstawy, ani jednego bowiem paragrafu ustawy karnej kantonalnej (zürichskiej) lub związkowej nie można było w tym razie zastosować. Prawo nie wzbrania w Szwajcaryi robić próby z materyjałami wybuchowymi. Ale cóż prawo obchodzić mogło rząd szwajcarski. Nie szwajcarowie, ale cudzoziemcy próby robili, a cudzoziemcami tymi byli nie anglicy, przed których workiem barżuazyja szwajcarska ma niezmierny respekt, — ale rosyjanie i polacy żywioły demokratyczne, rewolucyjne. Więc wytoczono śledztwo, poruczając je policyjantowi najpodlejszego gatunku. Policyjant ten miał być w jednej osobie szpiclem i sędzią śledczym, objektywnym, bezstronnym sędzią. Z powodu zamianowania na sędziego, policyjant Fiszer musiał zapewne upić się kwaśnem zürichskiem winem. Przez cały ciąg śledztwa nos jego miał szczególnie czerwoną barwę. Przyjrzyjmy się osobie nowego „komisarza“ związkowego. Człowiek w średnim wieku, wyłysiały z powodu pijaństwa i ekscesów płciowych, z nosem pijaka brudno czerwonym, z podbródkiem tłustym i krogulczemi oczyma szpicla. Idąc, niesie on brzuch swój naprzód; ten brzuch jest igłą magnetyczną w jego życiu. Twarz jego budzi wrażenie wstrętu, jakie każdy człowiek uczciwy mieć musi na widok chytrości, despotyzmu, brutalności. Kogo te rysy nie przypominały?.. Falstafa, pieczeniarza i burżua rozpustnego, karyjerowicza i hałaburdnika nocnego, popa, po kątnego pisarza, krętacza, stręczyciela do domów publicznych, oszusta, pijaka, włóczącego się nocami całemi po szynkach, żołdaka, łapownika-biuralisty, awanturnika, ale przedewszystkiem szwajcarskiego policyjanta. Bo też i w życiu swojem był on tem wszystkiem. Studyjował teologię, miewał nawet kazania, jako kandydat na popa, był adwokatem pokątnym i, jakby na ironię, sędzą śledczym, miał dom stręczeń, był oficerem w wojsku, awanturował się po Ameryce, tłukł się nocami z urwipołciami szynkowymi, pił i pił, zakłócał w nocy spokój filistrów zürichskich, rozbił np. zegar miejski, za co skazano go na zapłacenie 4,000 fr. kary, miał mnóstwo procesów o pobicie, obrazę i t. d., słowem życie jego było niespokojne i brudne, jak szumowiny, kotłujące w naczyniu. I takiemu człowiekowi demokracyja szwajcarska dała miejsce w radzie kantonalnej, w wielkiej radzie miasta i poruczyła mu nadzór nad policyją, nadzór, który powinien należeć do człowieka uczciwego, w przeciwnym razie demokracyja będzie czczym, pustym frazesem. I człowieka tego zamianowano komisarzem rządu związkowego!.. Można sobie wyobrazić, jak, zasięgając wskazówek u rządu berneńskiego, przerażonego odgłosem bomby, poprowadził on śledztwo.

Kardynalne artykuły procedury śledczej były zgwałcone, ustawicznie gwałcone bezwstydnie. I tak np. artykuł 7 konstytucyi zürichskiej opiewa: „Wolność osobista jest zagwarantowaną. Uwięzienie może mieć miejsce tylko w wypadkach, określonych ustawą, musi się ono odbyć w formie, prawem przepisanej.“

Tymczasem wszystkie areszty, nałożone przez Fiszera na osoby zupełnie niewinne, pozbawione były tem samem podstawy prawnej, że nie zachowane wobec uwięzionych formy prawnej, o tem świadczą liczne fakty. Wedle paragrafów ustawy karnej sędzia winien uwięzionego w przeciągu 24 godzin przesłuchać. Tymczasem jednego z aresztowanych nie przesłuchano w przeciągu 6 dni więzienia, mimo domagań się z jego strony, potem zaś wypuszczono na wolną stopę, bez wysłuchania, protokułu, bez oświadczenia nawet, za co go uwięziono.

Artykuł 3-ci ustawy wyraźnie mówi: „Wszelkie przekonania są swobodne.“ Ale czyż mogło to obowiązywać rząd związkowy?.. Fiszer, nie rozumiejąc nic po polsku ani po rosyjsku, nie znając zgoła społecznych stosunków polsko-rosyjskich, przybrał do pomocy szpicla w wyższym stylu, wziął docenta uniwersytetu, niejakiego p. Teofila Kozaka. Ten Kozak jest rusinem bukowińskim; w młodym wieku był carskim moskalofilem, potem zmienił się w c. k. ruteńca, dziś, jakkolwiek po niemiecku mówi jak tatar, wstydzi się swego pochodzenia i oświadcza, że już niemal zapomniał po rusińsku i po polsku, — zdaniem jego, po barbarzyńsku. Nędza ta jest docentem w uniwersytecie zürichskim, a równocześnie pisarkiem w konsulacie austryjackim, pisarkiem i oczywiście szpiclem rządowym, konsulaty bowiem handlowe zajmują się właściwie policyjnemi głównie sprawami. Szpicel szwajcar pokumał się ze szpiclem austryjackim. Dwie bratnie dusze zrozumiały się natychmiast. Kozak jest zwolennikiem państwowego Rodbertusa. W streszczeniu skastrował on dzieła tego bądź co bądź znakomitego ekonomisty i na książce swej wjechał do uniwersytetu, jako docent, ordynarny docent, to znaczy lokaj profesorski, serwilista wobec jakiegokolwiek rządu, docent niemiecki to szpicel na zawołanie, który miewa ustawiczne halucynacyje na temat katedry profesorskiej i z halucynacyjami temi chodzi dziesiątki lat między niebem a ziemią, z domu do uniwersytetu i napowrót. Na wykłady jego uczęszcza zazwyczaj 3 studentom najwyżej, uczęszczają z litości, docent bowiem bez studentów żyć nie może, przestaje być docentem. Nie chce on naśladować Demostenesa, który przed morzem rozhukanem miewał mowy, nie może go zresztą naśladować. W Zürichu morza nie ma, jest tylko jezioro zazwyczaj bardzo spokojne, w uniwersytecie zaś są ławki, zwyczajne drewniane ławki, głupie, jak bywają ławki, nie głupsze zresztą o wiele od docenta takiego, jak Kozak Teofil. Musi on więc za pomocą stosunków prywatnych, osobistych werbować sobie słuchaczy. Przychodzą, drzemią podczas lekcyi i wychodzą. Mówią, że niektórzy z nich często leczą się na bóle żołądkowe. Wierzymy. Kozak Teofil wykłada jak pisarek z konsulatu, jak nędzny pisarek, pracujący w biurze za marnych 40 reńskich. Otóż ten Kozak za 20 franków dziennie był prawą ręką Fiszera. Tłomaczył listy prywatne uwięzionych, ale jak? Tłomaczył błędnie, fałszywie, na niekorzyść oskarżonego, W jednym np. liście było: otrzymałem odbitkę „Walki Klas.“ Jednę odbitkę jednego artykułu, wówczas bowiem “Walka Klas“ była dopiero w druku. Kozak przetłomaczył: dostałem transport wydawnictw „Walki Klas.“ Błędów takich było mnóstwo, a pamiętajmy, że rząd związkowy wyrok swój ugruntowywał na przekładach Kozaka, nie zaś na oryginalnych pismach. Podczas składania protokułów docent-szpicel pytał o przekonania polityczne: „Czyj kierunek lepiej się panu podoba, Ławrowa, czy Plechanowa; czy w państwie konstytucyjnem byłbyś pan za używaniem środków gwałtownych, bomb etc.; czy pochwalasz pan taktykę rosyjskiej partyi terrorystycznej itp. itp. Kozak zasłużył się związkowemu rządowi, policyi; Kozak dostanie wkróce posadę profesora. Tylko tak dalej, a wszystkie katedry obsiędą pluskwy, i społeczeństwo szpiclom stawiać będzie pomniki.

A dalej artykuł 6 ustawy opiewa: „oskarżonemu o zbrodnię, lub przestępstwo, winna być daną sposobność być obecnym i wiedzieć o wszystkich przesłuchaniach, aktach śledczych, zawezwać pomocy prawnej, stawiać pytania świadkom w celu wyjaśnienia własnej sprawy“

Zdeptano brutalnie ten paragraf. Adwokatowi nie pozwolono zajrzeć do aktów, na skargi jego uzasadnione ani rząd kantonalny, ani związkowy nie dał odpowiedzi, nie pozwolono oskarżonym stawiać żadnych pytań, nie uwiadamiano ich o stanie sprawy itd.

Wbrew paragrafom 838 i 839 przetrzymywano listy, do nich pisane, najniewinniejszej treści i nie zwracano ich w ciągu śledztwa. Przetrzymano np. list adwokata do jednego z oskarżonych o treści następującej: „proszę przyjść do mnie dzisiaj“ Listu tego Fiszer nie chciał zwrócić adresatowi. W więzieniu obchodzono się z więźniami brutalnie. Dozorcy do niektórych więźniów nie używali słowa „pan,“ ale „wy,“co jest (w niemieckim języku) obrazą. Nie wypuszczano na przechadzki. Kilku towarzyszom podczas dwumiesięcznego więzienia raz tylko pozwolono użyć przechadzki po błotnem, śmierdzącem podwórzu więziennem. Z kobietami, studentkami uniwersytetu, Fiszer obchodził się nikczemnie. Zmuszał je groźbami do wyznań, kazał odprowadzać do więzienia, to znowu wołał do siebie i pytał, pragnąc cokolwiek wyciągnąć. Komedyja ta nędzna powtarzała się kilkakrotnie w przeciągu paru godzin. Jednemu z uwięzionych, choremu ciężko na piersi, nie chciano dawać osobnego wiktu, mimo żądania z jego strony, mimo że wikt ten oczywiście z własnej opłacałby kieszeni. Zrobiono policyjny najazd na czytelnię rosyjską, przerzucono tam wszystko i zapieczętowano drzwi. Czytelnia wcale nie jest wyłącznie socyjalistyczną, jest ona otwartą dla wszystkich. Podczas aresztów i rewizyj zürichskich policyja prześcignęła w grubijaństwie i bezwzględności nawet rosyjską. Rozbijano kufry, kasetki, plądrowano podczas nieobecności oskarżonego w rzeczach, w bieliźnie, fotografijach, książkach, wszystko zbrudzić musiały palce zbira respubliki, nawet fotografije osób najbliższych, najdroższych.

A... jeśli mi kto powoła się na cywilizacyję zachodnio- europejską, na bardziej rozwiniętą delikatność uczuć, to powiem mu, że co do burżuazyi, rządu, policyi jest głupim marzycielem! Podczas śledztwa wszystko robiono bezprawnie, nic zaś, co mogłoby wskazywać na poszanowanie ludzkiej godności. A wszakże nie miano do czynienia z przestępcami zwyczajnymi, z bandą opryszków, lecz — jeżeli można im to udowodnić — z przestępcami politycznymi, z ludźmi inteligentnymi, młodzieżą uniwersytecką, ludźmi, oddanymi nauce, o których profesorowie wyrażali się z wielkim szacunkiem, uznaniem dla ich pracy naukowej, dla ich zdolno-

ści i sumienności w spełnianiu obowiązków. Wszak Fiszer musiał wciągnąć do aktów świadectwo wystawione jednemu z oskarżonych, w którem profesor oświadcza, że oskarżony pracował nad ważnym problematem naukowym z zupełną znajomością rzeczy, pilnością, pr. ejęciem się nauką itd., że szkoda byłaby wielka, gdyby wskutek więzienia, wyroku został dla nauki stracony,. Zbir inteligencyi ocenić nie umie, i owszem, ciska się on wobec niej i pieni, jak zwierz, który widzi nad sobą wyższość rozumu. Nie możemy wyliczać wszystkich nadużyć, bezeceństw, czynów nikczemnych policyi, rządu. Przy końcu śledztwa oskarżonych, na których miał paść wyrok, kazano przymusem odfotografować. Fotografije porozsyłano policyi niemieckiej, rosyjskiej, francuskiej, austryjackiej, włoskiej. Policyja szwajcarska podała dłonie szpiclowskiej międzynarodówce. Sława demokracyi szwajcarskiej, sława ojczyźnie Tella i Winkelryda! Śledztwo oczywiście nie wykazało nic, albo raczej wykazało, że socyjaliści polscy i rosyjscy mają rzekonania socyjalistyczne, że zresztą wobec Szwajcaryi są niewinni. Śledztwo najlepiej scharakteryzował sam Fiszer, oświadczając jednemu z oskarżonych:

— Niechaj pan nie myśli, że stoisz pan przed sądem, to nie z sędziami, ale z rządem, z policyją sprawa...

Oskarżeni wiedzieli o tem aż nadto dobrze.

IV. Wyrok

„Szwajcarski rząd związkowy po rozpatrzeniu aktów śledztwa w sprawie zajścia na Zürichbergu, mając na uwadze, że 6 marca 1889 r. dwaj rosyjanie Jakób Brinstejn alias Nachtigalow, Gutman albo Dembo z Bernerska (Rosyja), ur. w r. 1863 i Aleksander Dembski (nie rosyjanin lecz polak!), członkowie rosyjskiej partyi terrorystycznej, czynili na Zürichbergu próby z materyjałami wybuchowymi, przyczem niebezpiecznie zranieni zostali bombami;

„zważywszy, że wkrótce potem Jakób Brinstejn umarł z ran, Dębski zaś pozostaje przy życiu i do zdrowia powraca;

„zważywszy, że j a k k o l w i e k śledztwo nie odkryło zupełnie w sprawie tej spisku, ale i owszem wykazało, iż doświadczenia czynione przez Brynstejna i Dębskiego znajdowały się dopiero w stadyum niepewnego próbowania, że atoli miały one bez wątpienia na celu zaopatrzenie terrorystycznej partyi rosyjskiej w nowe środki walki;

„zważywszy następnie, że Jerzy Prokofiew i Maryja Günsburg należą do czynnych członków partyi terrorystycznej i o próbach tych, j a k s i ę z d a j e, wiedzieli;

„zważywszy, że oprócz wymienionych osób także inni w Szwajcaryi zamieszkali cudzoziemcy, a mianowicie:

1) Beck, Jerzy Chrystian,
2) Kassyusz, Jezajasz Ezechiel,
3) Wołkowicz, Włodzimierz, alias Kasparek Teodor,
4) Gurewicz, Emanuel,
5) Kafianz, Gabryel,
6) Frenkel, Henryk,
7) Filipeo, Maxymilian,
8) Szeincis, Zofia,
9) Daszyński, Feliks,
10) Sysojew, Aleksy Wasilewicz.

„Jakkolwiek o zamiarach i próbach wspomnianych nie wiedzieli zgoła, mimo to należą co najmniej do terrorystycznej organizacyi, której, poza granicami Szwajcaryi przebywający, przewódcy bronią słuszności środków walki, służących za przedmiot doświadczeń Brynstejnowi i Dębskiemu;

„zwarzywszy to wszystko, rząd związkowy, zastosowując artykuł 70 konstytucyi związkowej, postanawia:

I. Następujące osoby wydalone są z granic związku szwajcarskiego:

1. Dębski Aleksander, student politechniki związkowej;
2. Prokofiew Jerzy, mechanik;
3. Günsburg Maryja, studentka medycyny;
4. Beck Jerzy Chrystyan, naucz. języków.
5. Kassyusz Jezajasz Ezechiel, nauczyciel prywatny i zecer;
6. Wołkowicz Włodzimierz, alias Kasparek Teodor, stud. praw ze Lwowa;
7. Gurewicz Emanuel, stud. politechniki.
8. Filippeo Maxymilijan, stud. politechniki;
9. Kaffianz Gabryel, stud. politechniki;
10. Frenkel Henryk, stud. medycyny;
11. Szeincis Zofia, studentka medycyny;
12. Daszyński Feliks, student filozofii;
13. Sysojew Aleksy Wasilewicz, rzekomo kupiec.

II. Uchwałę tę komunikuje się rządom kantonów: zürichskiego, waudskiego i genewskiego.

III. Poleca się związkowemu departamentowi policyi i sprawiedliwości (tylko policyi!) wykonanie powyższego wyroku.“

Data wyroku: 7 maja 1889.

A zatem rząd sam przyznaje, że śledztwo nie wykryło wcale spisku, że doświadczenia znajdowały się dopiero w stadyum niepewnego probowania, że oprócz Brynstejna i Dębskiego, nikt o nich nie wiedział, bo Günsburg i Prokofiew j a k s i ę z d a j e tylko, mogli o tem wiedzieć, że reszta skazanych żadnego w zajściu na Zürichbergu nie brała udziału, że dowiedzieli się oni o wszystkiem dopiero po akcie dokonanym, — śledztwo nie wykazało nawet, że skazani (z wyjątkiem Dębskiego) godzą się sami na terroryzm, wyrok bowiem mówi o tem, że przewódcy partyi, do której skazani należą, uznają słuszność gwałtownych środków; uznają, ale czy obecnie wprowadzają w życie owe środki, o tem nie ma ani słowa w wyroku. A zatem nie za czyny, ale za przekonania osób trzecich wydalono skazanych z granic Szwajcaryi, nie wyrzucono ich bowiem za czyny przewódców, ale za przekonania tychże. Za przekonania osób trzecich karać oskarżonych, to procedura tak dziwaczna, że przypuszczać musimy, iż członkowie rządu związkowego, wydając powyższy wyrok, stać musieli na głowach do góry nogami, w tej pozycyi było im łatwiej przewrócić, przenicować zupełnie elementarną zasadę prawną. Lecz cóż ich do tej pozy zmuszało?.. Serwilizm! Serwilizm nikczemny burżuazyi; drżącej przed widmem socyjalizmu, rewolucyi. Rząd carski wynagrodził ich za to, dziennik oficyjalny petersburski oświadczył, że Szwajcaryja zachowała się zupełnie lojalnie wobec Rosyi, że odtąd ta ostatnia znowu iść z nią będzie mogła zgodnie ręka w rękę.

Rząd szwajcarski, bez wątpienia, musiał obok fotografij oddać władzom rosyjskim akty i materyjały procesu. Areszty, jakie miały w ostatnich czasach miejsce w caracie, żródło swe głównie mieć musiały w denuncyjacyi szwajcarskiej policyi. Dodajemy, że jednemu z oskarżonych oddano po wyroku obok listów do niego adresowanych masę papierów, listów itd., należących do nieznanej mu osoby; — papiery zupełnie obcego człowieka włączono do aktów oskarżonego i na tej podstawie ferowano wyrok.

Lecz jeżeli rządy pełne są nikczemności, to za to lud umie ocenić podłość ich — z jednej strony, z drugiej zaś zdobyć się na uznanie i sympatyję dla rewolucyjonistów. Tłumne zgromadzenie robotników zürichskich, którzy z oburzeniem protestowali przeciw ukazowi rządu szwajcarskiego, a z uniesieniem, szacunkiem i współczuciem odzywali się o skazanych rewolucyjonistach, wyrażając swą solidarność — jest w tym razie najlepszym dowodem antagonizmu, jaki istnieje między ludem a rządem. Przyszłość atoli nie do rządów. ale do ludów należy!

Więc miejmy nadzieję i nie ustawajmy w pracy, aż rewolucyja zwycięzka proletaryjatu zmiecie trony cesarskie, królewskie, zmiecie bundesraty, jak wiatr zmiata marną plewę.

Niech żyje lud szwajcarski!..

MULARSTWO W WARSZAWIE

Liczny zastęp pracowników mularskich składa się przeważnie z ludności zamiejscowej, napływającej do Warszawy tylko na czas sezonu budowlanego od miesiąca kwietnia do listopada z miejscowości mniej więcej znacznie oddalonych jak np. z okolic Radomia, Częstochowy, Biłgoraja, z nadgranicznych osad gub. Kieleckiej, gdzie znajdują się całe wsi, (np. Zaklików) zaludnione od wieków mularzami, właścicielami drobnych posiadłości rolnych, z Galicyi i Szląska Pruskiego.

Mularze warszawscy stanowią bardzo nieliczną cząstkę tego zastępu i mieszkają w najgorszych dzielnicach miasta, w okolicach ulicy Browarnej, nad Wisłą, na przedmieściu Szmulowiźnie, oddalonem o 2 godziny drogi od miasta, za Wolskiemi rogatkami i w okolicach ulicy Smoczej, osławionego siedliska warszawskiego lumpen-proletaryatu i uważani są za wyższą jego warstwę, co jest zupełnie słusznem, zważywszy na ciężką, prawdziwie bydlęcą pracę, niskie wynagrodzenie, spowodowane przez konkurencyję mularzy zagranicznych, napływ których jest prawidłowo zorganizowany przez zmowę majstrów i przedsiębiorców; wpływa na to równocześnie brak zupełny oświaty, gdyż posyłanie terminatorów do niedzielnych szkół rzemieślniczych — obowiązujące w innych rzemiosłach — majstrów mularskich nie obowiązuje wcale i praktykowanem nigdy nie bywa. Szczególnie zaś przyczyną tego okropnego położenia mularzy jest zimowe bezrobocie, spychające ich rok rocznie w objęcia nędzy.

Robota na fabryce trwa 14 godzin: od 5-tej rano do godziny niby 7-mej wieczorem, z pół godzinną przerwą na śniadanie i jednogodzinną na obiad. Mówię n i b y, gdyż pierwszorzędni nawet majstrowie przetrzymują robotników po pół godziny dziennie. Przy budowie np. kościoła na Pradze pan Czosnowski, starszy Zgromadzenia Majstrów Mularskich, w roku zeszłym, gdy przy zakładaniu fundamentów pracowało u niego więcej niż 400 ludzi, przetrzymywał robotników regularnie po 20 minut dziennie. A więc „zarabiał“ 8000 minut dziennie albo z górą $10^1/_2$ dni roboczych, innymi słowy miał on codziennie 10 przeszło robotników „za darmo,“ okradając w taki sposób ludzi. Urywanie po kilka minut od czasu, przeznaczonego na śniadanie i obiad, jest zawsze na porządku dziennym.

Ile zyskuje majster na pracy mularza, można mieć pojęcie z faktu następującego. Kanał na ulicy Trębackiej oddany był nie majstrowi, jak to zwyczajnie bywa, ale spółce złożonej z czterech mularzy po tej samej cenie za łokieć, jaką brali przedsiębiorcy Mularze ci zarabiali przy tej robocie do 28 rs. na tydzień, to znaczy tyle, ile u majstra zarobić mogą za miesiąc pracy. Roboty mularskie na kolei Terespolskiej oddawane są majstrom bez materyałów, tak że dostarczają oni tylko robotników i biorą od zarządu kolejowego po 3 rs. za każdego mularza płacą zaś mu najwyżej 1 rs, 30 kop. dziennie, zyskują więc na każdym po 1 rs. 70 kop.

Oprócz zwykłego wyzysku mularze okradani są w ten sposób, że majster jako dodatek do pensyi podmajstrzego daje mu „kredyt“. Urządza się to tak: robotnicy, potrzebujący pożyczyć na życie, otrzymują od podmajstrzego marki blaszane, za które mogą w pobliskim szynku dostać trunków i jedzenia. Szynkarz daje za to podmajstrzemu procent i odbija go sobie w dwójnasób na cenach produktów; albo też podmajstrzy pożycza robotnikom pieniądze wprost gotówką i strąca je przy wypłacie z zarobku z procentem 10 kop. od rubla, czyli że przez rok zyskuje na każdym rublu 5 rs. 20 kop. i ma z tego źródła nieraz bardzo znaczny dochód.

Robotą całą na fabryce kieruje podmajstrzy pod nadzorem budowniczego; myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że w wyborze podmajstrzego decyduje jego wykształcenie techniczne, znajomość roboty itp.; majster ceni w nim przedewszystkiem zdolność poganiania robotników. Majster zajmuje się tylko zawieraniem kontraktów z klientami, właścicielami placów i procesowaniem ich o wypłatę umówionej sumy za wykonaną robotę w razie ich niewypłacalności, a w wolnych chwilach, które pozostają mu od tej „pracy,“ objeżdża powozem swoje fabryki i przechadza się po nich po kilka godzin dziennie. Wizyty takie przysparzają mu co tydzień kilkanaście rubli więcej, gdyż podmajstrzy, pobudzony jego obecnością, gorliwiej ludzi pogania. Robotnicy ze zgiętymi do ziemi grzbietami, pod palącymi promieniami letniego słońca, lub chłostani drobnym a gęstym deszczem, pędzonym przez przejmujący, zimny wiatr jesienny, pracują ze zwiększoną szybkością, oglądając się ukradkiem na majstra, który, osłonięty jedwabnym parasolem, z powagą przechadza się po fabryce, upominając ludzi, aby prędzej robili, z miną dobrego ojca i tonem zazwyczaj protekcyonalnie grzecznym. Wymyślanie robotnikom jest obowiązkiem podmajstrzych, spełniają go też zwykle

z wielkiem zamiłowaniem. Sposobów poganiania jest wiele; są one wszystkie wypróbowane praktycznie i ujęte w osobne systemy, które zastosowują się na fabryce odpowiednio do okoliczności. Zastosowanie ich zależy od osobistości majstra i podmajstrzego, od składu robotników, których zebrano do roboty, od grubości murów i stopnia żądanej dokładności roboty.

Zwykle kilku zdolniejszym mularzom, takim, którzy o szacunek kolegów nie dbają i wolą z ich krzywdą nieco więcej zarobić, a panu majstrowi wygodzić, daje on o złotówkę np. więcej od innych, za co obowiązani są prędzej pracować, zmuszając tym sposobem wszystkich kolegów do szybszej roboty, ponieważ mur musi się podnosić równomiernie na całej linii. Niektórzy z mularzy, zazdroszcząc lepiej płatnym, lub też chcąc w oczach majstra poniżyć i zdyskredytować, gdy się oni już pomęczą i zwolnią robotę, zaczynają ich „sztrabować“ tj. wznosić mur prędzej, przez co ze swojej znowu strony zmuszają ich do powiększenia szybkości roboty i pędzenia reszty pracujących. Takim sposobem panowie majstrowie, demoralizując robotników, zrywając wszelką między nimi solidarność, wytwarzając w tak nikczemny sposób współubieganie się wzajemne, wyciskają z nich możliwie największą ilość pracy.

Inny sposób jest następujący: na fabrykach, gdzie robota jest prostsza a mury grube, biorą do roboty chłopców kilkunastoletnich, którzy przedtem przez lat kilka nosząc wapno, przypatrywali się i poznali trochę robotę mularską. Chłopcy ci, prócz tego że współubiegają się między sobą w sposób wyżej wskazany, starają się jeszcze w szybkości roboty dorównać starszym lub nawet ich prześcignąć, ażeby majster, zobaczywszy ich gorliwość, podwyższył im płacę i uznał za dobrych mularzy. Stary mularz nie może pozwolić na to, aby go chłopak wysztrabował, i musi koniecznie, niechcąc narazić się na wyrzuty majstra, górować nad chłopcami, a duma nie pozwala mu upomnieć ich, żeby wolniej robili. Chłopcy ci, użyci do stosownej roboty t. j. wymagającej mniejszej dokładności i czystości w wykonaniu, pomimo, że robią tyleż co i starsi mularze, otrzymują zapłatę o połowę mniejszą, a nie korzystają wcale ani z praw terminatora, z opieki zgromadzeń cechowych, ani z opieki inspekcyi fabrycznej. Dzieci 10-letnie pracują na fabrykach mularskich przy noszeniu wapna, a przedstawiciele rządu, do których należy zastosowanie prawa fabrycznego, zabraniającego dzieciom niżej lat 14 pracować na fabrykach, skłonieni łapówkami majstrów, udają, że o tem nic nie wiedzą.

Jeżeli mularze, nie mówiąc, naturalnie, o zimie, kiedy to z powodu braku pracy często głód cierpią, żyją nie gorzej od robotników innych fachów, to o życiu ich pomocników: chłopców i kobiet z Warszawy i przedmieść i kobiet, przybywających z okolic Biłgoraja, zwanych przez ludność warszawską „czarnoszyjkami,“ ten tylko pojęcie mieć może, kto życie to widział na własne oczy. Pomocnice te otrzymują najwyżej półtrzecia złotego dziennie, żywią się podczas roboty suchym chlebem z kawałkiem czarnego salcesonu, zwanego „kadrylem“ lub „hyclem.“ Widziałem nieraz, jak pies majstra, znalazłszy w kącie pod rusztowaniem kawałek takiego salcesonu, obwąchiwał go tylko i odchodził z pogardą. Kobiety te, wróciwszy wieczorem po robocie około godziny 9-tej do domu, gdzie mieszkają w ciemnych, wilgotnych suterenach po kilkanaście osób w jednej izbie, mężczyźni razem z kobietami, zjadają kolacyę, złożoną z zupy z jarzyną i podziękowawszy panu bogu za wszystkie dobrodziejstwa, jakie im przez innych panów, majstrów i niemajstrów zesłać raczył, kładą się zaraz spać, aby nazajutrz przed czwartą rano zerwać się i spieszyć do roboty. Całe ich życie składa się z pracy i snu. Rozrywek, nawet tak niewymyślnych jak pogawędka przy kufelku piwa lub taniec na sali w niedzielę, — wcale nie używają. Wszystkie pieniądze, po opłaceniu jadła i mieszkania pozostałe, odkładają i tym sposobem, odmawiając sobie wszystkiego, zbierają kilkanaście rubli, aby na zimę z pustemi rękami do wsi nie wracać. W niedzielę, napracowawszy się ciężko przez tydzień cały, piorą swoje płócienne ubrania i nie wychodzą nigdzie chyba do kościoła, gdzie klecha opowiada im z ambony, że to z bożej łaski cierpieć muszą nędzę i pracą swą krwawą panów fabrykantów tuczyć. Mężczyźni, przybywający z niemi z tych samych okolic, którzy zajmują się przy budowach grabarką i lasowaniem wapna, chociaż zarabiają więcej od nich t. j. 4 zlote dziennie, jak każdy wogóle prosty wyrobnik w Warszawie, żyją nielepiej. Odziewają się, taksamo jak i kobiety, w płócienne białe ubranie, w którem chodzą nawet w święta. Mimo że wskutek swojej nędzy godni są najżywszego współczucia, nie są jednak lubieni w Warszawie, gdzie z powodu swoich nadzwyczaj ograniczonych potrzeb życiowych, uważani są za plagę wyrobników warszawskich, gdyż przez swoją konkurencyę obniżają płacę wyrobniczą do ceny kosztu możliwie najniższych środków utrzymania.

Wszyscy robotnicy, pracujący na fabrykach mularskich, otrzymują płacę na dniówkę, jedni tylko koźlarze, donoszący mularzom cegłę, robią na akord od kozła (200 sztuk cegły) i zarabiają tygodniowo około 6 rs. Obrywanie zarobku, jeżeli majster po obrachunku uzna, że zarobili zadużo, praktykuje się bardzo często. Podczas pamiętnej w Warszawie szalonej spekulacyi budowlanej, między rokiem 1877 a 1881, kiedy zapotrzebowanie ich pracy było olbrzymie i znacznie przewyższało jej podaż, bo do noszenia cegły potrzeba, oprócz znaczne siły mięśniowej, jeszcze wielkiej wytrwałości, jaką nie wielu ludzi posiada, zarabiali koźlarze do 15 i 18 rs. na tydzień. Płaca innych robotników była także wyższą od dzisiejszej, chociaż nie w takim stosunku. Spekulacya ta na budowę domów prowadziła się na łeb na szyję. Właściciel placu brał na jego hypotekę pożyczkę w Towarzystwie Kredytowem Miejskiem i dając majstrowi z tych pieniędzy zaliczkę, zawierał z nim kontrakt o postawienie domu, a po skończeniu domu zaciągał znowu na hypotekę stojącego już domu nową pożyczkę i wypłacał majstrowi umówioną sumę. Dom jednak stał w dzielnicy pustej prawie zupełnie i mało dawał zysków, mimo to gospodarz nie martwił się tem, wiedział bowiem dobrze, iż wkrótce społeczna praca robotników nada domowi, bez żadnych ze strony właściciela zachodów, więcej wartości. I oto teraz dom, z początku osamotniony, znalazł się na pierwszorzędnej ulicy, puste w około niego place zabudowały się pięknymi gmachami, przez ulice przeprowadzono linie kolei konnej, zaprowadzono wodociągi i urządzenia gazowe, pobudowano kanały, przeciągnięto całą sieć drutów telefonicznych, i dom, który zaraz po skończeniu mógłby być sprzedany za sumę, nie o wiele cenę kosztu przewyższającą, zaczyna przynosić wielkie dochody, lub sprzedaje się z zyskiem 15% lub 20%. Większość postawionych w tym okresie domów zbudowaną jest w sposób partacki, ponieważ gospodarz, będąc zwykle dłużnikiem majstra, przez szpary musiał na fuszerkę jego patrzeć, a budowniczemu, który z urzędu obowiązany jest dokładnego wykonywania robót doglądać, łapówka majstra zamykała gębę. Fuszerowano więc „na o, la boga,“ jak powiadają mularze. Jeden z panów majstrów, niejaki Gerlach, który teraz już z rozpusty i pijaństwa dostał paraliżu mózgu, w fuszerce do takiej dochodził bezczelności, że nie pozwalał mularzom wody do roboty używać, aby mniej wychodziło wapna, co grozi niebezpieczeństem zawalenia się budowy. Gerlachów takich było bardzo wiele. Mury domów, nie nakrytych jeszcze dachem, rysowały się, dopiero co wykończone gzymsy i kupile okienne, spadając, głowy przechodniom rozbijały, aż wreszcie, kiedy niedokończony jeszcze 4-o piętrowy dom na Wspólnej ulicy runął, zabijając i raniąc robotników, sekcya budowlana rządu gubernialnego zmuszona była, wskutek nacisku opinii publicznej, obostrzyć trochę nadzór nad prowadzeniem robót. Okazało się wtedy, że wiele nowo pobudowanych domów grozi zawaleniem i zmuszono właścicieli do zrobienia koniecznych poprawek. Z pod nowego domu hrabiego Krasińskiego przy ulicy Niecałej, obok ogrodu Saskiego, trzeba było wyjmować kawałkami cały fundament i wymurować nowy. Wreszcie w roku 1883 nastąpiło przesilenie w tej dzikiej spekulacyi. Została zabudowaną cała ogromna część miasta w granicach mniej więcej cyrkułów: Wolskiego, Jerozolimskiego, i Powązkowskiego; mieszkania większe dla ludzi zamożnych, jakie po większej części w nowych domach pourządzano, staniały, ludność zaś robocza musi się jak dawniej w norach przedmieść i za rogatkami miast gnieździć. Domy spadły znacznie w cenie, budowy nowych zaprzestano prawie zupełnie. Całe masy ludzi, których dobre przy budowie domów zarobki, do osiedlenia się w Warszawie skłoniły, znalazły się bez zarobku i chleba. Nastąpiła mroźna zima 1884 roku z zawiejami śnieżnemi. Zarządy kopalń podwyższyły cenę węgla, a kupcy warszawscy zaczęli go sprzedawać po cenie dwa razy wyższej; wszystkie artykuły spożywcze, z powodu utrudnionego przez zaspy śnieżne dowozu, podrożały ogromnie, nędza zapanowała wśród pracującej ludności Warszawy, robotnicy budowlani przymierali z głodu. Dnia 6-go marca 1885 roku trzytysięczny tłum, złożony przeważnie z grabarzy i mularzy, zebrał się na placu Zamkowym, przed rezydencyą generał- gubernatora Hurki, prosząc go o pracę. Nędznik ten, powiesiwszy dopiero co 4 ludzi, którzy o wyzwolenie pracy, o lepszą dolę dla ludu walczyli, zajęty był wysyłką na Sybir ich towarzyszy, kazał więc kozakom nahajkami tłum głodnych robotników rozpędzić, przywódców ich powsadzał do więzienia i kilkuset robotników, niestałych mieszkańców Warszawy, pozbawionych zajęcia, aresztował i wysłał etapem do miejsc urodzenia.

Przekonali się wtedy namacalnie robotnicy, że nie z prośbami przychodzić należy do przedstawicieli rządu, że trzeba, zmówiwszy się, zorganizowawszy się w silną rewolucyjną partyę robotniczą, z orężem w ręku wystąpić do walki z ciemięzcami i zginąć w boju, albo lepszą dolę sobie i dzieciom swoim wywalczyć.

Sen robotnicy

(Przeróbka z niemieckiego)

W pustej izdebce na poddaszu, siedzi kobieta młoda jeszcze, ale o rysach zwiędłych przedwcześnie. W kącie łóżka, przed lampą, uczy się chłopiec trzynastoletni. Jego wysokie czoło i rozbudzona twarz dowodzą sprytu i inteligencyi, ale oczy nie śmieją się wesoło; możnaby pomyśleć, że to dziecko przeszło przez doświadczenia bolesne starego człowieka.

Kobieta wypuściła igłę z ręki, oczy jej spoczęły na fotografii dorosłego mężczyzny, wiszącej na ścianie, i zaszły łzami. Powoli odsunęła robotę od siebie i przed jej umysłem zaczęły się przesuwać sceny z przeszłości.

* * *

Poza mgłą pełnych troski lat dziewczęcych pokazały się jej obrazy dzieciństwa. Twarz jej zarumieniła się na wspomnienie niskiego, szczupłego domku rodzicielskiego ze słomianym dachem, w małym ogródku nad samą rzeczką. Przypomniała sobie ojca, gdy w niedzielę szedł z matką, z nią i młodszym od niej bratem, Henrykiem, na spacer do lasku. Był on dawniej nauczycielem ludowym i został usuniętym z powodu braku uszanowania dla wyższej władzy szkolnej. W lasku rodzice odpoczywali, podczas gdy ona biegała z bratem, zbierając jagody. Potem ojciec wyjmował książeczkę z obrazkami zwierząt i ptaków i opowiadał o nich ciekawe rzeczy. Z lasu szedł z nimi na łączkę, rwał kwiatki i rośliny oraz nazywał każde po imieniu. Tak przechodzi dzień.

Wieczorem wracali do domu i podczas gdy matka rozniecała ogień, zasiadali zgłodniali około stołu. Na kominie gotowały się tymczasem kartofle; ojciec zaś ustawiał talerze i miseczki na białym obrusie. Po jedzeniu ojciec brał dzieci po kolei na kolana, upominał je, by były grzeczne przez cały tydzień i kładł je spać. Zasypiając, słyszały głośne czytanie ojca...

To była niedziela.

W tygodniu rodzice przepędzali cały dzień w polu i dopiero wieczorem wracali do domu. Ona zaś z bratem siedziała w szkole, a wieczorem odrabiała lekcyje lub też pomagała rodzicom w polu.

* * *

Wszystko przeszło... wszystko! Maryja, tak bowiem nazywała się matka Andzi, podniosła głowę. Dziecko było pogrążone w głębokim śnie.

tylko wargi jego się poruszały. Przykryła je lepiej kołdrą, siadła na krześle i ukrywszy twarz w dłoniach, pogrążyła się znowu we wspomnieniach.

* * *

Niedziele nie zawsze były tak wesołe. Z początku ojciec przestał opowiadać ciekawe bajki, a wesołe jego oblicze coraz częściej pokrywał smutek.

Mięso przestało pojawiać się w niedzielę na stole. Na obiad codziennie kartofle, a nawet w niedzielę.

Jacyś obcy ludzie przychodzili do domu, krzycząc i wymyślając; matka zaś pokazywała im książkę z cyframi i prosiła o przebaczenie. Szczególniej ją przestraszał jakiś pan z rudą brodą. Często bardzo słyszała teraz słowa: weksel, sąd, a pewnego razu, gdy pan z rudą brodą odszedł bardzo rozgniewany, matka zawołała:

— Teraz wszystko skończone!"

Ojciec opowiadał wtedy o wielkich panach, którzy zjadają słabszych od siebie...

Następnego dnia rodzice nie wyszli w pole. ludzie przychodzili i odchodzili, między innymi pan w mundurze ze złotymi guzikami, ogromnymi wąsami i z wielką czarną teką pod pachą. Przylepiali wszędzie karteczki.

Wieczorem rodzice wcześnie położyli dzieci do łóżka. Przez drzwi w drugim pokoju słychać było westchnienia i tłumiony płacz matki. Zasnęli.

Gdy się zbudzili, już słońce świeciło. Matka stanęła przy ich łóżeczku i rzekła:

— A teraz musimy pójść, dzieci!..

Gdy zaś matka zaczęła ją, Marynię, ubierać, padła na łóżko, ściskając ją namiętnie.

W pokoju siedział pan ze złotymi guzikami.

— Bądźcie dzieci grzeczne, mamy daleki spacer... — powiedział ojciec.

Matka wzięła je za ręce i wszyscy wyszli na szosę.

* * *

Maryja westchnęła; głowa jej spadała coraz niżej, aż sparła się o kolana. Obrazy przeszłości następowały jeden za drugim.

* * *

Ulice miasta krzyżują się w najrozmaitszych kierunkach. Ludzie i wozy przesuwają się prędko, a wysokie mury wylatują w górę, zasłaniając niebo. Ani listka, ani trawki!.. Pod samym dachem wysokiego domu, w małym pokoiku spoczywają oni obok siebie.

— Tu można się zadusić... — płacze matka.

Przez okno widać tylko kominy i dachy domów i wieże kościelne.

Pierwsza noc była bardzo smutna. Matka płacze, ojciec chodzi po pokoiku z kąta w kąt, ona zaś z bratem czują twardość gołych desek, na których leżą.

Na drugi dzień około obiadu ojciec wraca do domu w długiem, szarem i brudnem ubraniu. Ją przestraszył ojca wygląd, Henryk zaś pyta się go, czy mu kto czegoś złego nie zrobił. On jednakże całował matkę i opowiadał o wielkiem szczęściu.

Tak mijał rok za rokiem. Z początku głodzili się czasami, ale potem zawsze mieli chleba i kartofli poddostatkiem i zaczęli się przyzwyczajać do miasta.

Z początku matka cały czas siedziała w domu, gotowała i szyła dla jakiejś wielkiej pani; ona zaś z bratem uczęszczała do szkółki, a w wolnych chwilach bawiła się na dworze.

Skończywszy lat 15, wstąpiła do przędzalni; brat zaś dostał robotę w fabryce zapałek. Z początku czuli się nieszczęśliwymi; ona chciałaby się czegoś jeszcze nauczyć, brat zaś koniecznie chciał zostać malarzem i okazywał niemałe zdolności. Tak zręcznie rysował sąsiadów, że nazywali go nie inaczej, jak artystą. Niebieskie, wielkie oczy i długi czarny włos jego czarowały wszystkich. Ale matka zaczęła chorować na reumatyzm, co nie pozwalało jej pracować, ojciec zaś, jako murarz, zarabiał bardzo mało, tak, że dzieci musiały pracować same, by nie być ciężarem dla rodziców. Ale wkrótce przyzwyczaiła się do fabryki; o świcie zrywała się ona ze snu i przecierała oczy, chcąc odpędzić napadającą ją senność; wieczorem zaś, wróciwszy do domu z bólem w krzyżu, poznawała dopiero błogość snu i spoczynku. Brat jej szemrał jeszcze kilka miesięcy, ukrywał to jednakże przed rodzicami. Rozsądek wskazywał mu niepewność położenia rodziców.

I tak minęło jeszcze 5 lat. Henryk powoli zapominał dawne swe marzenia; zarabiał teraz w fabryce zapałek dość dobrze; ona też zarabiała już około 2 i pół rubla tygodniowo. Wprawdzie matka coraz częściej zapadała na zdrowiu, pomimo tego jednak pewien dobrobyt zaczynał zjawiać się w domu. Zajmowali teraz dwa dość przyzwoicie umeblowane pokoiki; w oknie stało kilka doniczek z kwiatami, a co niedziela, wychodzili na spacer w ubraniu świątecznem.

Tłumy ludzi spacerowały po ulicach i było prawdziwą rozkoszą wyjść za miasto, by odetchnąć świeżem powietrzem. Powozy i dorożki jeździły w rozmaitych kierunkach, podnosząc tumany kurzu; głosy ludzkie daleko weselej brzmiały w otoczeniu podmiejskiej zieleni. Zieleń ta tak wesoło uśmiechała się do przechodniów, którzy przez 6 dni widzieli tylko wysokie mury i rozpalone trotuary.

Muzyka grzmiała w ogródkach, a wesoły szmer głosów ludzkich mieszał się z tonami muzyki.

* * *

Była wiosna. Wiatr marcowy dmuchał w okna, a matka jęczała w łóżku z boleści; po obiedzie dostała silnego napadu reumatyzmu, dzieci siedziały przy jej łóżku. Ojciec od tygodnia pracował przy budowie domu za miastem.

Wtem usłyszeli ciężkie kroki w korytarzu, drzwi się otworzyły i pokazały się nosze. Na nich leżał ranny i nieprzytomny ojciec.

Rusztowanie zawaliło się i spadając, zraniło go niebezpiecznie. Matka podniosła się i spojrzawszy szeroko otwartemi oczami na nosze, upadła bez sił.

Lekarz stwierdził pęknięcie czaszki; trzeba było odwieźć chorego do szpitala. Trzy tygodnie bronili się przeciwko temu... Ona z bratem Henrykiem pracowała bezustannie, nocami zaś czuwali po kolei przy chorych rodzicach.

Sprzedano już wszystko i do opustoszałego mieszkania zaczęła zaglądać nędza. Dłużej nie mogli tego znosić. Długa sala szpitalna pochłonęła rodziców i gdy po dwumiesięcznej chorobie brama zamknęła się za nimi, zostali oddani do przytułku dla biednych. Paraliż uczynił ojca niezdolnym do pracy i matka musiała go doglądać. Ona zaś kaszlała i chorowała coraz bardziej. Lekarz utrzymywał, że płuca jej zostały nadwerężone od kurzu i przeciągu. Życie jej stawało się coraz bardziej podobnem do życia nędzarzy.

* * *

W jednym z dwóch pokoików mieszkała ona z bratem; drugi pokój zajmował przyjaciel jej brata, Antoni, robotnik w warsztatach mechanicznych drogi żelaznej. Był to wysmukły i blady młody człowiek, z otwartem obliczem, o jasnych, rozumnych oczach. Tych niebieskich oczu nikt nie mógł zapomnieć, kto je raz widział. Spoglądał on z takiem współczuciem i jednocześnie tak przenikliwie, że każdy czuł do niego pociąg.

Cała jego postać jaśniała uczciwością, pełną rozumu i miłością. Zresztą nie mówił on nigdy o tem, co wyrażała cała jego postać. Pomimo trosk codziennych, życie ich miało dotychczas nieznaną rozkosz.

W dzień widywali się mało; za to wieczorem, gdy wszyscy troje wracali do domu, nowy jakiś duch zapanowywał pomiędzy nimi. Ściany pokoiku Antoniego były pokryte portretami, a na półce leżały książki. Tam siadali około stołu i popijając herbatę, rozmawiali o tem i o owem. Wtedy po raz pierwszy usłyszała zasady socyjalizmu, głoszone z uczuciem i zrozumieniem rzeczy. Z początku dziwiło ją to i spoglądała na Antoniego z pewnem niedowierzaniem; pamiętała, że ojciec nazywał tych ludzi zaślepionymi lub nieuczciwymi. Nie mogła pojąć, jak człowiek uczciwy może należeć do takich, co chcieliby tylko próżnować i żyć za pieniądze bogatych, jak to mówił ojciec. Ale gdy Antoni zaczął jej przedstawiać nędzę jej sióstr i braci na fabrykach, ich nieszczęścia i ciemnotę, gdy ją przekonał, że to oni są twórcami wszystkich bogactw, że oni swemi rękami budują i utrzymują szkoły i uniwersytety, tracąc przytem zdrowie, bez nadziei na lepszą przyszłość, wtedy i ona poczuła się człowiekiem. Całemi godzinami słuchała jego płomiennej mowy o jasnej przyszłości, kiedy to dusza ludzka swobodnie rozwijać się będzie...

W Henryku nastąpił też przewrót. Dawna jego chęć wiedzy rozbudziła się w nim na nowo i jednocześnie zakiełkowała nienawiść do społeczeństwa, które kazało mu zmarnować najlepsze siły w dusznym warsztacie. Zrywał się wtedy z miejsca, z przekleństwem uderzał pięścią w stół.

Tak mijały dnie i tygodnie.

Antoni czytał im broszury i pisma i objaśniał im trudno zrozumiałe ustępy. Lecz i on narzekał na niewystarczające wykształcenie. Nie rozumiał jeszcze wielu rzeczy. Ale raz zawołał, wchodząc do pokoju, rozpromieniony:

— Znalazłem nauczyciela!..

Za nim wszedł człowiek dziwnej budowy ciała. Na tułowiu, prawie dziecinnym, znajdował się ogromny garb, z którego wystawała olbrzymiego rozmiaru głowa. Ale przyjrzawszy się lepiej temu dziwacznemu karłowi, uczuwało się do niego wielkie, uszanowanie. Rysy twarzy miał regularne; wielkie szare oczy spoglądały rozumnie i po przyjacielsku, szczególniej zaś zachwycało piękne i wysokie czoło, ocienione ciemnym włosem. Antoni przedstawił go, jako pana Feliksa.

Odtąd pokój Antoniego zamieniał się co wieczór w prawdziwą szkołę. Czytano książki i rozprawiano o nich szczegółowo; stawiano i rozbierano różne kwestyje, a pan Feliks potrafił wszystko tak prosto i zrozumiale objaśnić, że go każdy mógł zrozumieć. Brat jej zapalił się ogromnie. Przedtem chodził niekiedy do knajpy, teraz zaś zawsze bywał w domu i uważnie słuchał Feliksa. Gdy udało mu się coś zrozumieć, wtedy z radości skakał, jak dziecko, po pokoju, wołając:

— Co za ciemnota!.. Co za ciemnota!.. To przecież jasne, jak słońce... Jak można było tego nie rozumieć?!..

— Jest to jasnem tylko dla ciebie i dla niewielu... — mówił Antoni. — Pomyśl tylko o ogromnej ciemnej masie robotniczej... Dla nich właśnie uczynić wszystko jasnem i zrozumiałem, to rzecz najważniejsza...

W ostatnich czasach Antoni stał się jeszcze poważniejszy, lecz oczy jego świeciły zwycięztwem.

* * *

Minęły dwa lata. Rodzice już spoczywali na cmentarzu. Zbliżał się Nowy Rok. Antoni występował dość często na publicznych zebraniach i jego jasne słowa wzniecały wszędzie zapał. Zebrał on koło siebie dość znaczną liczbę inteligentnych robotników i nieustannie przygotowywał ich do przyszłej działalności. Pociągał ku sobie ludzi i najbardziej przybite niedolą charaktery czuły jego dobroczynny wpływ. Robotnicy zaczęli zwracać na niego uwagę; uczucia swobody, braterstwa i sprawiedliwości zaczęły się rozwijać w ich umysłach.

— Nakoniec następuje dzień... — powiedział on sobie po zebraniu robotniczem, na którem udało mu się zbić twierdzenia pewnego profesora, który też z szyderstwem i śmiechem został wygwizdany przez słuchaczów.

Nazajutrz otrzymał on od policyi wzbronienie występowania na zebraniach publicznych.

* * *

Na Nowy Rok Antoni i ona pobrali się.

W wązkiej uliczce, zapełnionej starymi domami, zajmowała młoda para pokoik parterowy w trzypiętrowej kamienicy. Słońce wprawdzie rzadko świeciło w tej wązkiej uliczce, ale Antoni uważał mieszkanie za dobre z powodu tego, że posiadało ono jeszcze tylny pokoik, w którym urządził warsztat ślusarski. Po Nowym Roku napróżno szukał zajęcia. Dzwi wszystkich fabryk zamknęły się przed nieustraszonym agitatorem. Z początku mało było roboty; z czasem jednak warsztat przez porządne wykonywanie roboty taką pozyskał sławę, że Antoni z trzema czeladnikami ledwo mogli nadążyć... Zresztą nie miał on nawet czasu w zupełności oddać się swojej pracy. Wśród mas robotniczych wystąpienie jego wywołało ogromny ruch i zewsząd wypływali ludzie, którzy żądali od Antoniego wskazówek; interesy klasy robotniczej pochłaniały cały jego czas. Zorganizował nową kasę chorych, wprowadził dyscyplinę w szeregi partyi, zwoływał zebrania i publicznie na nich występował, prowadził korespondencyję, zorganizował rozpowszechnianie zabronionych gazet i broszur socyjalistycznych. Oprócz tego jeździł

na prowincyję, by i tam rozszerzyć propagandę.

W pokoiku, obok warsztatu ślusarskiego, inny istniał warsztat, w którym wykuwano zasady lepszej przyszłości i organizowano armiję, gotową w każdej chwili wystąpić do boju o lepszą przyszłość.

* * *

Zaczęły się rewizyje i procesy polityczne; policyja stała się częstym gościem Antoniego. Niektórzy kundmani, którzy mu dotychczas dawali robotę, z obawy przestawali to czynić. Antoni został zmuszony z trzech czeladników odprawić dwóch. W ostatnim tygodniu nie miał już Antoni ani grosza, i musiał sprzedać swój zegarek, by zapłacić robotnikowi. Przyjąć zaś pomoc od towarzyszy, uważał za niezgodne ze swemi zasadami.

— Bezinteresowność jest jednym z koniecznych czynników wszelkiej agitacyi... — mawiał — i nieprzyjaciołom nie trzeba dawać żadnego powodu do oszczerstwa...

* * *

Urodził im się synek.

Nazajutrz ona leżała w łóżku, gdy przybyło kilku towarzyszy wprost z zebrania, na którem Antoni jednogłośnie został postawiony na kandydata na posła do parlamentu. Kieliszki zabrzęczały, rzucano słowa ogniste, oczy jaśniały, twarde dłonie robotników ściskały się serdecznie i wobec wielkiej wspólnej sprawy światło nadziei opromieniało ich oblicza.

Naraz drzwi się otwierają i na progu staje mała dziewczynka; w ręku trzyma ona paczkę i podchodzi z nią do łóżka chorej.

— To dla ciebie... — mówi dziewczynka. — Kazali mi to tobie doręczyć...

W paczce znajduje się kilka monet, a na karteczce napis: „Wiernej swej siostrze i towarzyszce walki — kobiety i dziewczęta z fabryki.“

— I ukłon od matki... — dodaje dziewczynka.

W tejże czwili słychać na ulicy odgłos kroków zbliżającego się tłumu ludzi.

To robotnicy urządzają swemu kandydatowi owacyję. Głośne okrzyki i nuta Marsylijanki napełniają powietrze. Całe towarzystwo zrywa się z miejsc, a Henryk stoi z gorejącem obliczem:

— Co za szczęście czuć się wśród towarzyszy!.. — szepczą jego usta.

Nagle z ulicy dochodzą szydercze i wyzywające okrzyki:

— Policyja... policyja... — a wśród tego odzywają się głosy podoficera:

— Na miejsca!.. Naprzód!.. Marsz!..

Antoni z gośćmi spieszą na ulicę. Tam spotykają tłumy towarzyszy, roznamiętnionych postępowaniem policyi; krzyk zamkniętego w ciasnej uliczce ludu rozdziera powietrze nocne. Nie znajdując żadnej drogi, napierany przez policyję, uzbrojoną w szable, ściska się cały tłum w zagłębieniu bram. Tylko schody przed domem Antoniego są jeszcze wolne. Stary robotnik wchodząc na schody te, zostaje raniony przez policyjanta i pada na ziemię. Antoni chce go prędko wciągnąć do sieni; wtem chwyta go policyjant za ramię, wołając:

— W imieniu prawa aresztuję was wszystkich!..

Około Antoniego stają Feliks i Henryk. Oko tego ostatniego pała jak u szalonego.

Podczas tej sceny ona siedzi w swem łóżku, drżąc z przestrachu. Lampa gaśnie, oblewając cały pokój czerwonym płomieniem. Z ulicy dolatują głuche jęki.

* * *

Przez trzy miesiące Antoni ze swymi przyjaciółmi siedział w więzieniu pod śledztwem. Potem nastąpił wyrok i przyjaciół jego uwolniono, ale on dostał dwa lata więzienia za „naruszenie porządku.“

— Dzień dobry, Maryjo... — zawołał po wyjściu z więzienia, ściskając żonę i całując dziecko. — Wściekle nudziło mi się!.. Ale jakże się wam powodziło, moi kochani?..

Nie mogła wymówić ani jednego słowa, tylko łzy lały się strumieniem. Twarz Antoniego była blada i zapadnięta; oczy jego jednakże posiadały tenże sam blask.

— Przestań Maryjo!.. — pocieszał on ją — trzeba się przyzwyczaić i uważać więzienie, jako czasowe nasze mieszkanie... Z nicponia stałem się tam gryzipiórkiem i ty, Feliksie, zajmij się poprawieniem mojej broszury od błędów gramatycznych... Jak mi Maryja opowiadała, byłeś dla nich prawdziwym ojcem... Dzięki ci, kochany przyjacielu!..

W trzy tygodnie po uwięzieniu Antoniego zamknęła warsztat i choć jej ofiarowywali zapomogę, nie chciała przyjąć. Sama wolała pracować dla siebie i dla swego dziecka.

Często, pochylona nad obracającem się kołem maszyny, usłyszy jakby okrzyk dziecka; rzuca wtedy nić i wskakuje z miejsca...

— Czyś się pani skaleczyła?.. — pyta sąsiadka; ona zawstydzona jeszcze głębiej nachyla swą głowę nad wirującem kołem i wśród monotonnego szumu dobiega ją wesoły głosik dziecka...

Jak pięknie mały rósł z każdym dniem!.. Wielkie niebieskie oczy i delikatne jedwabne włoski, zupełnie jak ojciec. Ale ten siedział w ciemnej i wilgotnej celi więziennej.

* * *

Naokoło stołu w mieszkaniu Antoniego siedzą delegowani od 800 robotników z fabryki żelaznej. Na dworze deszcz leje, jak z cebra. Oto wchodzi ostatni delegowany, otrząsa się z wody, która z niego kapie i siada na krześle obok łóżka. Za nim siedzi ona i trzyma na ręku uśpione dziecko.

Tylko ciężki oddech obecnych rozlega się w pokoju. Zarząd fabryki zawiadomił dzisiaj robotników, że nie chce pozwolić na istnienie założonej przez Antoniego kasy chorych. „Podżegacze i burzyciele“ używają jej jakoby do podburzania robotników przeciw fabrykantom; uczucie buntu opanowało umysły niektórych. Żądają zatem od robotników, by wystąpili ze stowarzyszenia, bo to prowadzi do własnej ich zguby. Niezadowoleni zostaną wydaleni bez miłosierdzia.

Przed rozpoczęciem roboty zebrał dyrektor koło siebie wszystkich robotników i miał do nich mowę, w której ostro wyrzucał im ich udział w zebraniach publicznych.

— Zebrania te — mówił dyrektor — tylko nieszczęścia mogą sprowadzić na robotników!..

Zakończył zaś mowę następującemi słowami:

— Teraz wiecie, jak macie postępować... Mam nadzieję, że każdy z was jest oddany całem sercem swej ojczyznie i nie ma chyba nikogo, ktoby się dał uwieść tym łotrom bez ojczyzny, bez czci i honoru... socyjalistom...

Między innymi wydalono 50 robotników i to takich, którzy całe życie prawie pracowali w tej fabryce i stracili w niej wszystkie swe siły... Pozostałym dano jakieś papiery do podpisania. Mieli zobowiązać się nie należeć do partyi socylistycznej.

— Wiem, że wszyscy to podpiszecie... — mówił dyrektor — zarząd jest tego pewny...

Robotnicy stanęli jakby rażeni piorunem. Mająż więc oni, jak niemowlęta, zaniechać wszelkiej samodzielnej pracy?.. Usta się poruszały, a pięście zaciskały się z wściekłości. Ale obawa wydalenia i utraty chleba zamykała im usta i zaciśnięte pięście opadały bezwładnie. Nikt jednakże nie wziął pióra do ręki. Gdy zaś dyrektor się oddalił, uczucie wściekłości wybuchnęło z gwałtowną siłą. Uczciwych towarzyszy, z którymi pracowano lata całe, wyrzucają na bruk; kasa chorych, z której robotnicy mieli jaki taki pożytek i która pod własną ich znajdowała się kontrolą, ma być oddaną samowoli zarządu; mająż więc cały dzień pracować, jak bydlęta, nie mając nawet prawa mówić o swem położeniu?..

— Nikt nie pójdzie do pracy!... — krzyczano w szeregach robotników — chyba łotr, który zdradza swych towarzyszy!..

Tego samego dnia odbyto jeszcze jedno zebranie i wybrano delegacyję. Antoniego wybrali za przewodnika i posłali do niego swych przedstawicieli, by wspólnie omówiono tę sprawę.

Zaczęto rozprawiać z zapałem. Młodszym ciągle się śniła zwycięzka rewolucyja, mówili o ogólnem powstaniu uciśnionych mas proletaryjatu, podczas gdy starsi dowodzili szkodliwości gwałtownych kroków i powątpiewali w solidarność robotników. Robiono propozycyje i porzucano je, a między innemi zrywał się ten lub ów z miejsca i miotał gwałtownemi słowami, które paliły umysły, jak żażące się węgle. Gdy wstał Antoni, zapanowała głęboka cisza. Mówił o potrzebie organizacyi w działaniu; strejk miał wykazać innym robotnikom drogę, po której powinni postępować. Tylko solidarnością i wytrzymałością mogą zdobyć zaufanie reszty robotników. Każdy musi uznać, że przyjęcie propozycyi zarządu równałoby się zrzeczeniu się praw człowieka. Takie tchórzowskie poddanie się pogorszyłoby tylko ich położenie, zdyskredytowało sprawę robotniczą i zaszkodziło całemu ruchowi. Obowiązkiem każdego świadomego robotnika jest walczyć do ostatniego tchu. Najsamprzód trzeba posłać fabrykantowi swe żądania i skłonić go do ustępstwa. Nie powinniście się jednakże łudzić — dodał on — walka będzie ciężką!..

Znowu nastąpiła cisza; tylko piersi robotników podnosiły się żywiej na wspomnienie o głodzie, grożącym rodzinom; burza tymczasem szalała w najlepsze na dworze i dzwoniła w małe okienka.

* * *

W groźnem milczeniu przesuwały się przez ulice miasta kolumny robotników. Deputacyja ich nie została przyjętą przez dyrektora fabryki. Kasę oporu policyja opieczętowała natychmiast; koło bramy fabryki rozlepiono rozkazy, grożące nieposłusznym ciężkiemi karami.

— Opór wasz zostanie złamany!.. — groził dyrektor drugiej deputacyi, która prawie gwałtem dobiła się przyjęcia.

Sześć tygodni trwało już bezrobocie, a zarząd fabryki nie odstąpił od swoich żądań. Strejkującym robiono największe trudności. Nie wolno im było zbierać się, nie wolno było ogłaszać odezw o pomoc, a zarząd przedstawiał ich jako próżniaków. Ogół robotników jednakże nie dał się oszukać. Uczucie braterstwa opanowało wszystkich; nawet najbardziej obojętni robotnicy wyciągnęli swe dłonie na pomoc uciśnionym towarzyszom.

Zarząd bezlitośnem swem postępowaniem coraz większą rozpalał nienawiść. Strejkujący i ich rodziny prawie umierali z głodu w swych ciasnych i pustych izdebkach lub też żywili się suchym chlebem, dostarczanym przez towarzyszy. Chcieli wytrwać, dopóki jeszcze krew nie ostygła w ich żyłach...

Antoni musiał porzucić zupełnie swe rzemiosło. Przez nieustanną propagandę i agitacyję zbudził robotników do czynu i wskazał im na lepszą przyszłość... Używał, prócz tego, bezrobocia jako środka agitacyjnego dla podniesienia ducha w zabitych nadmierną pracą i ciemnotą towarzyszach.

Nadchodzi przestraszająca wiadomość o przyjeździe świeżych robotników z prowincyi. Zarząd odważył się na wszystko; za to obawa bliskiej śmierci głodowej wygnała robotników z ich chat. Okrzyk rozpaczy i nienawiści wyrwał się z piersi.

— Do fabryki!.. do fabryki!.. — krzyczeli na ostatniem zebraniu, odbytem pod gołem niebem, za miastem. — Nim umrzemy z głodu, chcemy walki!..

— Do fabryki!.. — rozlegało się pod pochmurnem niebem i odgłos rozpaczliwego krzyku odbijał się echem od lasu. Zdecydowani na wszystko poszli do fabryki.

Na przodzie kroczyły potężne postacie robotników z portu w liczbie 2,000, zamykali zaś pochód robotnicy z innych fabryk; w środku zaś szli strejkujący z żonami i dziećmi.

W poblizkich ulicach szable brzęczały, słychać było szczęk oręża i stąpanie koni: policyja i wojsko szykowały się do walki... Zatrzymać pochodu nie byli w stanie, teraz zebrali się w bliskości fortu, zasłonięci przed wzrokiem robotników przez gęste drzewa ogrodu.

Antoni, pan Feliks i Henryk znajdowali się pomiędzy strejkującymi.

— Krwawy dzisiaj będzie dzień... — powiedział Antoni jeszcze w domu. — Policyja czeka tylko okazyi, by napaść na robotników... Bywaj zdrowa, trzeba pójść do towarzyszy...

Ucałował ją i dziecko i poszedł. Lecz ona nie mogła wytrzymać w domu. Schwyciła dziecko i bocznemi uliczkami podążyła w stronę ogrodu. Chciała podzielić los męża...

— Towarzysze!.. Bracia!.. — mówił Antoni — wprawdzie nie nadszedł jeszcze czas, byśmy mieli nadzieję zwyciężyć te masy wojska, które obecne państwo wysłało przeciwko nam, ale nie spróbowawszy walki. nie wolno składać oręża... Pokażmy naszym towarzyszom, jak ludzie umierają za swoją sprawę. Nasza walka natchnie ich męztwem i przygotuje im zwycięztwo. Niech żyje socyjalizm!.. Niech żyje równość!..

— Umrzeć lub zwyciężyć!.. — wołał tłum, a kobiety wtórowały im w ich krzyku.

Wprawdzie pojedyncze głosy starały się uspokoić trochę umysły tłumu, radząc nie uciekać się do gwałtownych kroków, ale słowa ich zostały zagłuszone szyderczym śmiechem. Wyśmiewano te głosy, wymyślano im od szpiclów. Ale wpośród wrzawy, śmiechu i krzyku, rozlega się nagle głos Henryka:

— Teraz lub nigdy!.. Towarzysze!.. Czy słyszycie burzę rewolucyjną?.. Towarzysze!.. Bracia!.. Niesprawiedliwość długo panowała, dość już niewoli, upodlenia!.. Teraz na nas kolej, zemścić się za to wszystko!.. Nie uważajcie na upomnienia ludzi tchórzliwego serca!.. Sprobójcie wywalczyć sobie wolność! Strumieniem niech płynie krew naszych wyzyskiwaczy!.. Ogrzani jednem uczuciem braterstwa, powstaną wszyscy robotnicy, jak jeden mąż i wtedy nasi wyzyskiwacze rozproszą się, jak proch!.. Śmierć tyranom!..

— Śmierć tyranom!.. — wtoruje mu tłum — nikt nie opuszcza towarzyszy, nikt!..

Dźwięk muzyki wojskowej rozlega się w powietrzu i wojsko zaczyna się zbliżać ku robotnikom. Bagnety ich strzelb błyszczą w powietrzu; szczęk oręża coraz wyraźniej dobiega uszu. Z drugiej zaś strony, gdzie znajdowały się szare mury fabryki, dochodzi rozpaczliwy krzyk:

— Robotnicy z prowincyi nadchodzą, żołnierze ich otaczają!... Naprzód, bracia; naprzód!...

Ale już żołnierze zaczęli działać kolbami, pokazały się obnażone szable. Ciężkie i spracowane ręce robotników spadają na głowy żołnierzy; z całej tej masy tylko jeden głos wściekłości lub bólu rozlega się w powietrzu...

Część robotników z żonami i dziećmi biegną naprzeciw świeżo przybyłym z prowincyi robotnikom. Przekleństwa i jęki śmiertelne, krzyk kobiet i wrzask dzieci przeszywają powietrze i rozmiękła od deszczu ziemia zabarwiła się krwią walczących...

Wpośród robotników walczy Antoni, podtrzymując w nich męstwo. Obok niego Feliks i Henryk: pan Feliks zdobył szablę i toruje nią drogę Antoniemu. Henryk zaś wywija w powietrzu toporem: po każdem jego uderzeniu strumień krwi wytryska z uderzonego. Bagnet żołnierza zagrażał Henrykowi; pan Feliks przyskakuje; chce szablą osłonić go, gdy wtem ostrze przeszywa jego samego.

— Masz racyję, Henryku... — mówi on, padając. — Słodko jest umrzeć w walce za świętą sprawę robotniczą!..

Teraz zadrgała ziemia. Konnica w pełnym galopie naciera z obnażonemi szablami. A pod kopytami koni giną stratowani robotnicy...

* * *

Wiatr rozwiał chmury i ukazało się gwiaździste niebo, które widać było poprzez liście drzew ogrodu. Strzały rozlegały się jeden po drugim. Broń połyskiwała, a rozdzierające duszę krzyki przeszywały powietrze. Henryk został zabity, a Antoni leżał nieprzytomny na ziemi, raniony w głowę. Żona wyciągnęła go z pośród największego ścisku, prawie że z pod kopyt końskich i skryła się z nim w zaroślach. Gdy Antoni odzyskał przytomność, poprowadziła go wązką, zarośniętą ścieżyną, zasłoniętą gęstemi drzewami, wzdłuż muru ogrodowego. Musiała go wspierać, gdyż trudno mu było o własnej sile chodzić; jednocześnie przyciskała dziecko do piersi, aby stłumić jego płacz. Cisza zalegała okolicę, tylko z drugiej strony ogrodu dochodził ostry zapach spalenizny i okrzyki bólu i zwycięztwa. Tak doszli oni do bramy miejskiej, gdzie teraz stała podwójna straż. Na skrwawioną głowę wcisnęła mu duży kapelusz znaleziony po drodze, uspokoiła dziecko; z piosnką na ustach przeszli koło warty.

Gdy dosięgli pustej szosy, Antoni padł i stracił przytomność. Z trudem ocuciła go, po czem powędrowali wzdłuż rosnącego nad drogą lasku Ledwo trzymając się na nogach, dosięgli mieszkania kowala, odległego o pół mili od miasta.

Kowal, przyjaciel Antoniego, ukrył go. W kącie ciemnej i wilgotnej szopy leżał on w gorączce. Nastąpiły wtedy dla niej ciężkie dnie. Zaburzenie robotnicze zostało stłumione. Trzydziestu robotników pokryło swymi trupami równe aleje ogrodu, reszta zaś zapełniła więzienia; zniknięcie Antoniego szczególniej gniewało policyję. Rozesłano listy gończe, szpicle przetrząsali miasto i okolice i codziennie wołano masę niewinnych ludzi do protokułu... Nie mogła do chorego zawezwać doktora, i sama odważała się tylko nocą wymykać do niego z mieszkania przyjaciela, który mieszkał dość daleko od kowala.

— Wolę raczej umrzeć bez pomocy, niż męczyć się w więzieniu... — powiedział raz w chwili przytomności.

Głód męczył ją, a i chłopak często wołał o chleb. Wszystko co było w domu zabrali wierzyciele, bliżsi przyjaciele Antoniego zginęli lub zostali uwięzieni, spokojni zaś obywatele z oburzeniem opowiadali o pokonanych „rozbójnikach“. Każdy omijał jej pustą, zimną izdebkę, Przedstawiano go jako strasznego burzyciela i warchoła a jednocześnie pijaka. Pisano, że podczas pijatyk w ich domu stawała ona z kieliszkiem w ręku i sztyletem i miała mowy do zebranych, które krwiożerczością przewyższały wszystko. Szczególniej rozprawiano o braku moralności pomiędzy robotnikami i wytykano wcale niedwuznacznie jej stosunek do Feliksa. Obrażone uczucie godności własnej wzburzyło w niej krew. Nie dość, że zdeptali całe jej szczęście, ale stawiają ją jeszcze pod pręgierz jako publiczną kobietę, śmią obrażać najświętsze jej uczucia!

— Nie doczekają się tego tryumfu... — powiedziała sobie — nie będę chodziła do drzwi ich żebrać pomocy, obrzydli mi wszyscy!..

Postanowiła oczekiwać śmierci głodowej. Cały dzień siedziała skurczona w końcu łóżka, pogrążona w swych myślach o chorym i kołysała dziecko na kolanach... Niekiedy przychodziła wnuczka sąsiadki, starej robotnicy, i przynosiła coś do jedzenia. Wtedy dziecko zsuwało się z jej kolan, biegło naprzeciw przychodzącej, i odbierało jej jedzenie. Zarzuciwszy rączęta około szyi przybyłej, spoglądał na nią z uśmiechem i mówił:

— Prawda, jutro znowu przyjdziesz do nas?.. Mamo, ja tak lubię Manię...

Tak minął prawie miesiąc. Stan chorego pogarszał się ciągle, aż nareszcie gorączka wzięła górę i chory zupełnie stracił przytomność. Przestał poznawać otaczających. W kącie szopy, gdzie stało jego łóżko, słuchała całą noc jego niezrozumiałego szeptu, skłaniała ciężką swą głowę i zrywała się gwałtowniej, gdy z ust spalonych gorączką wylatywał krzyk...

* * *

Spokojna noc księżycowa jaśniała nad miastem i w powietrzu czuć było przyjemne ciepło majowe. Ona ułożyła do snu dziecko i poszła do kowala. Prędko minęła bramę miejską, poszła wzgórzem, które prowadziło do szosy. Liście młodych buków połyskiwały jak srebro i widać było przez nie jasne niebo. Jakieś uczucie strachu opanowało nią i tak dobiegła szosy. W cieniu ogrodowego parkanu, idącego wzdłuż drogi, szła szybko, przyciśnięta do muru, by uniknąć młodych ludzi, którzy ją zaczepiali i ofiarowywali się ją odprowadzić. Na ścieżce idącej przez łąkę i prowadzącej do kuźni, spotkała kowala.

— Tylko co chciałem pójść poszukać was, bo Antoni jest dzisiaj w bardzo dziwnym stanie...

Bez tchu prawie pobiegła wpadła do szopy. Antoni siedział w swem łóżku. Twarz jego była śniada i szeroko otworzone oczy gorzały.

— Puśćcie mnie, puśćcie!.. — bronił się żonie kowala, która go chciała nazad położyć. — Muszę pójść!.. Strzeż się, Henryku, żołnierz do ciebie mierzy!.. Ach, nieszczęśliwy, nic mu nie pomoże!.. Ale przyszłość do nas należy!..

Okryty potem chory upadł bezsilnie na poduszkę i umarł.

Kowal chciał pójść do miasta, by zawiadomić o jego śmierci i żeby przygotować pogrzeb, Lecz ona zagrodziła mu drogę.

— Jemu nic tem nie pomożesz, — płacze, — pamiętaj o swych dzieciach!..

Kowal zaczął zbijać trumnę z desek łóżka, ona zaś błędnemi oczami przyglądała się jego pracy, którą wykonywa na pozór spokojnie. Lecz gdy zabił trumnę ostatnim gwoździem, rzucił daleko ciężki młot i z zaciśniętymi od gniewu i bólu zębami zawołał:

Niech krew jego spadnie na ich sumienie!..

* * *

Sen minął. Przed oczami biednej robotnicy pokazało się znowu skromne otoczenie oraz postać ukochanego dziecka. Ale ten widok wystarczył, by ją uspokoić.

— Ty pomścisz pamięć twego ojca, — pomyślała. — Miejsce wymordowanych bohaterów zajmą ich dzieci, i sprawa robotnicza zwycięży, bo przyszłość do nas należy!..

Co słychać w świecie?

I.

Wystawa powszechna w Paryżu

Francyja święci w roku bieżącym 100-letnią rocznicę wielkiej rewolucyi a święci ją wystawą. Na polach marsowych otoczona wspaniałymi gmachami, wznosi się olbrzymia wieża, przewyższająca wszystkie dotychczasowe budowle świata. Kiedy się patrzy na tego olbrzyma, którego szczyt muskają chmury w przelocie, wówczas mimowoli nasuwa się na myśl wielka rewolucyja. Ogromem swym prześcignęła ona wszystkie poprzednie rewolucyje, charakter swój miejscowy zrazu zmieniła na powszechno-światowy, skutki jej sięgają w przyszłość daleką... Z wierzchołka wieży w noc ciemną rozchodzą się długie, jasne smugi światła, — ognisko błyszczące w górze wysyła pęki promieni, które rozświecają ciemności, złocą wierzchy kopuł, złocą geniusza, wznoszącego się na centralnym gmachu wystawy, promienie rzucają odblaski na ciemne chmury, pędzone wiatrem, czasami wieża cała staje w bengalskim ogniu purpurowym, z piąter jej ciągną się smugi dymów krwawe... Rewolucyja była takiem światłem w ciemnej nocy niewoli, przesądów, rozpusty, promienie jej oświeciły świat cały, w świetle ich stanęły despotyzm władzców, obskurantyzm klechów, zdzierstwo szlachty i naraz ludzkości zrobiło się od tych promieni jasno, niewolnicy zrozumieli cały bezwstyd niewoli, odczuli własną potęgę i na wargach ich zawisło hasło: „wolność, równość, braterstwo!“ — z początku powtarzane cicho, ale wkrótce jakaś niezmierna energija, otucha poczęła im piersi rozpierać i podniósł się okrzyk wielki, złożony z milijonów głosów. Był to krzyk zapału, uniesienia, którem witano wolność. Lecz nowy porządek należało utrwalić, należało usunąć wszystko, co przypominało stare, znienawidzone instytucyje, słowem, trzeba było staczać straszne walki z ustrojem, który upornie pragnął utrzymać się i nadal w dziejach.

I polała się krew. Łeb królewski spadł z gilotyny, — z Ludwikiem XVI-tym powtórzyła się ta sama scena, która poprzednio odbyła się w Anglii, gdzie rewolucyja ścięła głowę Karolowi.

W ważnych dla ludzkości chwilach krew oczyszcza ją, jak ogień oczyszcza metale. Na widok krwi, słusznie przelanej, tłumy poważnieją. Widzów przejmuje groza, w umysłach ich dokonywa się nagła, niemniej jednak gruntowna zmiana. Powaga królewska runęła, — cóż z tego, że później reakcyja wyniesie znowu na tron władzcę?.. Chwile jego policzone, nowa rewolucyja zmiecie ponownie tron, aż wreszcie przekonanie, że królestwo jest wrogiem społeczeństwa, przeniknie ludzi do szpiku — wówczas przyszłość rzeczypospolitej zapewniona, wówczas poważanie dla władcy wyprute zupełnie zostanie z uczuć masy. W ten sposób przelana krew zmienia ciemny, zwierzęcy motłoch w ludzi. Rozumiał to dobrze poeta nasz, który często miewał w swem życiu chwile prawdziwie rewolucyjnego zapału; rozumiał to — powtarzamy — Mickiewicz, kiedy pisał:

„ . . . . . . dzieło zniszczenia
„w dobrej sprawie jest święte, jak dzieło tworzenia...“

Dymy purpurowe, unoszące się z piąter potężnej wieży, przypominają nam krwawe rewolucyi chwile, przypominają dymy pożogi, dymy wystrzałów armatnich walczącego ze zjednoczoną reakcyją europejską ludu francuskiego. Absolutyzm cesarski, królewski, książęcy wyprowadził przeciw rewolucyi wszystkie swe siły. W walce z ludem okazały one swą bezsilność. Lud stworzył nową taktykę wojenną, która zwyciężyła rygor absolutyzmu. W pole wyruszyli, okładani pałkami żołnierze pruscy, austryjaccy itd.; każdy z nich jako pojedyncza jednostka nic nie znaczył, pałka kaprala zabiła w nim wszelkie poczucie swobody, samodzielności. Naprzeciw tych mas, które umiały się tylko poruszać za wskazówką starszyzny, wykonywać ruchy automatyczne, bez-

myślne, — stanęły szeregi bohaterów, walczących za świeżo zdobytą wolność. W szeregach tych panowały: jedność, porządek, ale do jedności zmuszała wszystkich miłość wolności. Każdy z walczących zachował swobodę, samodzielność, nie szedł do boju bezmyślnie, wiedział za co i dla kogo walczy, dowódcy nie tłukli go rękojeściami pałaszy po grzbiecie, nie zmuszali gwałtem do ataku, — on szedł sam, pchany zapałem, z gorącem w piersi uczuciem szedł naprzód... i zwyciężał.

— — — — — — —

Rzućmy teraz okiem na teraźniejszość. Wielka rewolucyja francuska nie była tylko — jak to wielu utrzymuje — rewolucyją burżuazyi. Burżuazyja wprawdzie największą z niej korzyść odniosła, ale ruch nowy podniósł również poziom całego społeczeństwa.

W każdej rewolucyi — ktokolwiekby do niej dał hasło — rozstrzyga ostatecznie siła ludu. On to rozprawia się z wojskiem, on wali Bastyliję, on gotuje barykady i ginie na nich. W każdej zatem rewolucyi lud choćby na krótką tylko chwilę musi być zupełnie wolnym, musi czuć w całej pełni swą potęgę, władzę. I oto te właśnie chwile kształcą go, wyzwalają z przesądów i uczą, że ustrój istniejący wiecznym być nie może, że można go zwalić i nowy, lepszy zaprowadzić, że najlepszym będzie on wówczas, gdy cała klasa robotnicza uświadomiona co do swych interesów, jednolicie zorganizowana, dobije się zmian pożądanych. Burżuazyja zrozumiała istotę rewolucyi, zrozumiała, że jest to broń obosieczna. Dziś zapał jej dla wielkiego jubileuszu szczerym nie jest. Zniszczyłaby ona, gdyby mogła, wszelką myśl rewolucyi, ażeby używać spokojnie żywota, handlując pieprzem i bawełną, i wznosząc coraz to nowe kominy fabryczne.

Burżuazyja francuska wytworzyła szaloną anarchiję, chaos, w którym trudno jej dać sobie radę. Pożera ona, jak bóg starożytnych, Kronos, własne swe dzieci. Burżuazyja kradnie, obrachowuje fundusze państwa, wskutek tego musi być pobłażliwą dla złodziei kasy publicznej, brata się z nimi i uświęca tem samem nieporządek. Rządy, wybrane przez nią, gwałcą na każdym kroku prawa; nic więc dziwnego, że bezprawie staje się hasłem państwa. Dziś rządowi republikanie prześladują zwolenników Boulangera (czytaj: Bulanżera), jutro ci ostatni wrzucą do więzień republikanów. Jak psy o kości, tak partyje burżuazyjne walczą wzajemnie o władzę, o pieniądze, o prawo popełniania bezprawi. Rewolucyja wobec tego staje się nieuniknioną. Burżuazyja, truchlejąca dziś przed nią, sama jej wstęp przygotowuje.

Na słupach wystawy błyszczą złotymi literami: „pokój i praca" — ale pokoju nie ma dziś we Francyi, a praca niesie w swej dłoni rewolucyję. Tchórze wobec rewolucyi — rewolucyjonizują francuskie społeczeństwo. W żadnem państwie rząd nie jest tak zdyskredytowany, jak we Francyi. Co 3, co 5 miesięcy zjawia się nowe ministeryjum, które działa wprost przeciwnie, aniżeli poprzednicy. Ministrowie są pośmiewiskiem partyj w parlamencie. Każdy z nich ma na sobie stare i nowe grzechy przedajności, szwindlów, fałszerstwa. Dzienniki opozycyjne odzywają się o członkach rządu z pogardą, wymyślają od nikczemników, złodziei — rząd przyjmuje obelgi i milczy, nie są one bowiem obelgami, ale prawdą.

A lud?.. Lud stracił szacunek dla sfer rządzących. Słyszy on i czyta w dziennikach, że na czele państwa stoją przestępcy, słyszy i czyta własne burżuazyi słowa. Rewolucyja jest nieunikniona. W dusznym chaosie długo żyć nie można. Rewolucyja wyrzec musi twórcze słowo: — Stań się światło!.. — i stanie się światło.

Lecz kiedyż nadejdzie ta chwila? Kiedy się patrzy na partyje ludowe we Francyi, smutek ogarnia rewolucyjonistę.

Sprzedajność, pogoń za złotem demoralizują również i partyje ludowe. „Possybiliści", mianujący się partyją robotniczą, mają przewódców, stojących na żołdzie państwowym. Tak więc nieporządek i bezprawia burżuazyi zaraziły swym jadem i część robotników. W szeregach rewolucyjnych socyjalistów nie widać również silnej organizacyi, karności, niezbędnej w walce codziennej. Na widok wspaniałych budowli wystawy, wzniesionych dłońmi robotników, ogromnych maszyn, produktów fabrycznych, płodów ziemi, okazów zbytku, ugrupowanych systematycznie w gmachach wystawowych, nasuwa się pytanie, czy robotnicy, ci sami, którzy pod kierownictwem burżuazyi wszystko to stworzyli, potrafią po wybuchu rewolucyi zawładnąć należycie maszyną państwową, czy potrafią rządzić, czy nie staną wobec własnego dzieła — rewolucyi — bezsilni, niezaradni?..

Odpowiedź na to pytanie prosta: Oto, jeśli partyja socyjalistyczna nie zdobędzie się na silną organizacyję, jeśli przewódzcy jej zamiast gruntownego obznajomienia się z dzisiejszym ustrojem, z jego tajemnicami, szczegółami, środkami, z jego wadami i zaletami — jeśli zamiast takiego obznajomienia się, wskazywać tylko będą palcem na przyszłość i bezmyślnie powtarzać: „nowy ustrój zaradzi złemu", jeżeli robotnicy nie wytworzą w pośród siebie karnych szeregów, nie zajmą się sprawami fachowymi w sposób taki, ażeby kiedyś w przyszłości można było własnemi siłami poprowadzić produkcyję w nowym ustroju — jeżeli to nie nastąpi, wówczas własne nasze dzieło — rewolucyja — przewali nas swoim ciężarem.

Organizacyi zatem, silnej organizacyi, szczegółowego obznajomienia się z państwem dzisiejszem, przygotowania się godnego do rewolucyi nam potrzeba.

II. Międzynarodowy Kongres Socyjalistyczny

14 lipca b. r. w 100-letnią rocznicę zburzenia Bastylii, obradować będą w Paryżu dwa robotnicze, międzynarodowe kongresy. Dlaczego *dwa* — zapyta czytelnik? Wszak międzynarodowe sprawy robotnicze są dla wszystkich wspólne, wszak jeden cel powinien ożywiać robotników całego świata. Kongresy zwołują robotnicy francuscy, wśród których panuje rozdwojenie. Wina niezgody leży po jednej tylko stronie, po stronie partyi possybilistów. Possybiliści (nazwani od słowa *possible*=możliwy, dlatego, że zadawalniają się drobnemi reformami, które na dziś są m o ż l i w e) idą dziś ręka w rękę z rządem, pobierają z tajnego, gadzinowego funduszu pieniądze na dzienniki partyjne, z funduszu tego rozdają pieniądze na dzienniki partyjne, z funduszu tego rozdają pieniądze między arystokracyję robotniczą, stojącą na czele syndykatów i oczywiście odnoszą się wrogo do socyjalno-rewolucyjnej partyi połączonych marksistów i blankistów. Otóż ci, protegowani przez rządy burżuazyi socyjaliści, nie chcieli się zgodzić na to, ażeby mandaty przedstawicieli organizacyj różnych krajów były sprawdzane, a obawiając się, że na kongresie poruszone będą żądania istotnie rewolucyjne, oświadczyli, iż nikt nie będzie miał prawa podnosić podczas obrad spraw i żądań, jeżeli poprzednio w oznaczonym terminie nie zawiadomił o tem komitetu, zwołującego kongres.

Złączeni marksiści i blankiści zgodzić się na projekty possybilistów nie mogli. Mandaty powinny być sprawdzane, gdyż wówczas wiadomo, że się ma do czynienia z przedstawicielami organizacyi, wydelegowanymi przez nią, nie zaś z gromadą samozwańców lub szpiclów. Każdy ma prawo poruszać kwestyje i żądania, jakie za stosowne uważa, komitet zwołujący kongres nie może przecie nakładać kagańców na swych towarzyszy.

Oto dlaczego, dzięki panom possybilistom, odbędą się w Paryżu dwa kongresy. Może i lepiej, że się tak stało, „Niech pada, co się waży!" Niech się wydzieli zawczasu to, co później ciągnęłoby wstecz rewolucyję.

Wśród robotników widzimy również arystokracyję. Taką arystokracyją są Trades-Union'y angielskie, które egoistycznie dbają tylko o interes swoich stowarzyszeń i nie występują nigdy w imieniu ogółu pokrzywdzonych. Trades Union'y złączą się z possybilistami — tem lepiej.

W zjeździe posybilistów weźmie udział parę zaledwie organizacyj robotniczych; na kongres złączonych marksistów i blankistów przybędą przedstawiciele organizacyj z 12 państw europejskich i organizacyj amerykańskich.

Podajemy tutaj treść odezwy partyi zjednoczonych marksistów i blankistów:

„Robotnicy i socyjaliści Europy i Ameryki!

„Kongres robotniczy w Bordeaux (Bordo), w którym wzięło udział 200 Izb syndykalnych z rozmaitych przemysłowych ognisk Francyi, zarówno jak i kongres w Troyes (Troa), złożony z przedstawicieli 300 robotniczych stowarzyszeń i grup socyjalistycznych, reprezentujących większość klasy robotniczej i obozu socyjalno-rewolucyjnego, — postanowiły w ciągu wystawy zwołać do Paryża międzynarodowy kongres, w którymby uczestniczyć mogli robotnicy całego świata.

„Socyjaliści europejscy i amerykańscy uchwałę tę przyjęli radośnie, przyrzekając wziąć udział w zjeździe, w celu sformułowania żądań klasy robotniczej odnośnie do międzynarodowego robotniczego prawodawstwa, którego projekt będzie przedmiotem obrad we wrześniu odbyć się mającej konferencyi berneńskiej, złożonej z przedstawicieli rządów.

„Kapitaliści zapraszają bogatych i możnych na wystawę, ażeby ci oglądali i podziwiali dzieła robotników, którzy otoczeni dokoła olbrzymiemi bogactwami, jakie kiedykolwiek istniały w społeczeństwie, skazani są na nędzę. My socyjaliści, dążący do oswobodzenia pracy, zniesienia niewoli najemnej i zaprowadzenia takiego ustroju społecznego, w którym wszyscy robotnicy — bez różnicy płci i narodowości — mieliby prawo do wytworzonych wspólną pracą bogactw, — zapraszamy rzeczywistych wytwórców do Paryża na kongres, który odbędzie się 14 lipca b. r.

„Zapraszamy ich, ażeby utrwalić węzły braterstwa, łączące proletaryjuszów wszystkich krajów i przyspieszyć w ten sposób przyjście nowej ery.

„Robotnicy wszystkich krajów łączcie się!"

Podpisy przedstawicieli organizacyj amerykańskich, jakoteż reprezentantów partyj innych krajów, którzy przyrzekli uczestniczyć, dotychczas jednak nie zgłosili się do komitetu, ogłoszone będą w późniejszym cyrkularzu.

Uprasza się delegatów, ażeby przynajmniej na tydzień naprzód uwiadomili o swem przybyciu komitet, który poczyni starania, ażeby przybyłych przyjąć na dworcu i ułatwić im pobyt (wyszukanie mieszkania, wskazanie odpowiednich restauracyj itp.).

Nadesłane podpisy są następujące:

A u s t r y j a. W imieniu socyjalistycznej partyi robotniczej: J. Popp, V. Adler, E. Kralik, A. Zinnramm, N. Hoffmann, J. Kreutzer, J. Winnig, G. Popper (z Wiednia); J. Mackart, H. Flöckinger, K. Sams (z Insbrucku); A. Weiguny, J. Siegl (z Lincu); A. Friemel, V. Wiener, T. Heinz, A. Bozek (ze Styryi); K. Schneeweiss, A. Sobotka, A. Klofac, J. Hybes (z Berna); V. Sturz, F. Dosek, T. Nemczek (z Pragi); T. Zedniczek, R. Zaholtko (z Prossnitz); A. Gerin, C. Griekar, J. Lax (z Tryjestu), J. Daniluk (ze Lwowa); T. Adenau (z Klagenfurtu); E. Rieger (z Bratzau); J. Zimmerman (z Jägerdorfu).

B e l g i j a. W imieniu socyjalistycznej partyi robotniczej Gandawskiej: E. Anseele, C. Van Bevereu.

F r a n c y j a. W imieniu federacyi Izb syndykalnych i towarzystw robotniczych francuskich: R. Lavigne; w imieniu federacyi socyjalistów francuskich: J. Batisse.

W i e l k a B r y t a n i a. R. B. Cnuninghame Graham, członek parlamentu; w imieniu ligi socyjalistycznej: William Moris, F. Kitz; w imieniu robotniczego, wyborczego związku: W. Parnell (sekretarz), G. Bateman, H. Champion, Tom Mann; w imieniu związku górników w Ayrshire: J. Keir Hardie.

N i e m c y. W imieniu socyjal-demokratycznej partyi robotniczej Niemiec: Bebel, Frohme, Grillenberg, Harm, Kühn, Liebknecht, Meister, Sabor, Singer, Schumacher — członkowie parlamentu.

H o l l a n d y j a. W imieniu niederlandzkiej socyjaldemokratycznej partyi robotniczej: Domela Nieuwenhuis, Croll.

W ł o c h y. W imieniu socyjalno-rewolucyjnych organizacyj: Amilcare, Cipriani.

P o l s k a. S. Mendelson od redakcyi *Walki Klas*; L. Anielewski w imieniu warszawskiego komitetu robotniczego.

P o r t u g a l i j a. W imieniu socyjalistycznych związków robotniczych: Carvalho.

R o s y j a. Stepniak (tymczasowo).

H i s z p a n i j a. W imieniu hiszpańskiej socyjalistycznej partyi robotniczej: Pablo Iglesias, F. Diego.

S z w a j c a r y j a. Brandt, zastępca przewodniczącego związku Grütli; w imieniu szwajcarskiej socyjal-demokratycznej partyi: A. Reichel, A. Steck.

IMPRIMERIE DE L'AURORE, 15, CHEMIN DANCET 15